№ 49. Warszawa, dnia 20 Listopada (2 Grudnia) 1876 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera:—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowej lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).



## WRAŻENIA Z PODRÓŻY po Szwecyi i Norwegji,

przez Alberta Vandal.

(Streszczone przez J. B.)

### I.

### Miasto hanzeatyckie.

Jadąc z Paryża do Sztokholmu postanowiliśmy zatrzymać się w Lubece dla zwiedzenia starożytnego tego miasta.

W naszym XIX-ym wieku, w roku 1875, gdy tylko miasto jakieś liczy przeszło 40,000 mieszkańców, zachciewa mu się zaraz naśladować Paryż, dalejże przerzynać ulice w prostym kierunku, rozwalać, budować, przebudowywać. Zaciera się wszelką oryginalność, wszelki starodawny koloryt. Mało, coraz mniej spotykamy miast takich, które wierne zwyczajom, tradycyom, a nawet dziwacznym upodobaniom przeszłości, szanują i przechowują stare swe gmachy, swe w gzygzak kręcące się ulice, mchem porosłe pomniki, zarówno jak swobody municypalne i przywileje cechowe, swe stare dzwony i swych burmistrzów. Podróżnik napotykający na swej drodze taki zabytek średniowieczny, taką żywą relikwię z upłynionych wieków, zapomina zkąd przybył, w jakim wieku żyje.

Przez cały dzień same tylko piasczyste wybrzeża Westfalji i Holsztynu przesuwały się przed naszemi oczami; znudzeni i drzemiący, w nocy przybyliśmy do Lubeki. Jakże miłe czekało nas przebudzenie! Nagle ujrzeliśmy przed sobą, jakby czarnoksiężką przyzwane siłą, widmo jednego z owych pięciu miast hanzeatyckich, które władały dwoma morzami, utrzymywały wojska i jenerałów i z pół tuzina królom płaciły pensye. Prędko jednak postrzegliśmy że to nie cień ale żyjące miasto, że mieszkańcy nie przesuwają się ale chodzą. Przed nami roztaczał się plac zupełnie nieregularny; w około niego wznosiły się dziwaczne budowle, z ostremi wieżyczkami zakończonemi szczytami, podobne już to jakby do trochę upiększonych forteczek, już to do gotyckich kapliczek. Z tego placu rozbiega się ze dwadzieścia uliczek, a do każdej łączy się jakieś wspomnienie, jakiś zabytek przeszłości nęci oko podróżnika.

Domy wzniesione przy naszych prostokątnych placach i w prostej linji ciągnących się ulicach, stoją w bojowym szyku jakby czekające tylko komendy do wymarszu; wszystkie niemal mają jednakową postać, barwę i rozmiary — cywilizacya narzuciła im mundury. W Lubece każdy budynek stara się usilnie różnić jak najwięcej od swego sąsiada; różnorodność jest ich celem, fantazya środkiem. Na niektórych domach widnieje postać jakiegoś świętego, do którego właściciele szczególniejsze mają nabożeństwo lub uważają za patrona swego domowego ogniska; na innych umieszczone są krzyczące szyldy, przemalowywane w kolei wieków, przypominające prawnukom czem byli ich naddziadowie. Takie szyldy to mówiące herby mieszczaństwa. Przy jednej z ulic stoi kamienica cechu rybaków lubeckich, należąca do nich od czasu jak Lubeka istnieje; na murach niepoprawna jakaś ręka narysowała wyprawy, podróże i niebezpieczeństwa przebyte na morzach przez tych śmiałych żeglarzy. Inne cechy posiadają także swoje starożytne domy.

Nie sądźmy jednak że wszystkie domy Lubeki datują z XIV lub z XV wieku, bynajmniej — tylko gdy już który chyli się do upadku, odradza się z popiołów ale nie przeinacza. To też Lubeka nie nosi na sobie piętna niektórych grodów, w których przechowały się starożytne dzielnice co przeżyły swoją świetność, i wyglądają jak zestarzała plama w pośród nowoczesnego miasta. Lubeka to nie martwe zwłoki, których całun podziwiamy, nie — to tylko oryginał ubierający się dziś jak się ubierano przed pięciuset laty.

Tak więc domy zachowują dawną postać, ale ubiór mieszkańców, zwłaszcza mężczyzn nie różni się prawie od zwykłych ubiorów mieszczańskich. Jedynie tylko młode kobiety z ludu pozostały wierne czerwonym pończochom, krótkim w pasy spódniczkom, a nadewszystko przystrajaniu głowy swych praprababek. Jest to rodzaj jakby mikroskopijnego czepeczka, coś niby róża ułożona z tiulu, wyłaniająca się z pośród ogromnych włosów. Moda ta nie zmienia się dotąd, matki przekazują córkom śliczne te stroiki, a powstanie jej opiewa legenda. Oto jak mi ją opowiedziano.

Mieszczanki Lubeki nie zawsze stroiły się w homeopatyczny ubiorek w którym im tak do twarzy. Niegdyś nosiły na głowie coś niby olbrzymie, kolosalne kapelusze, były to jakby piramidy egipskie przeciążone klejnotami — dźwigały na głowach milijony swych mężów. Przerażeni następstwami, biedni mężowie zawiązali stowarzyszenie przeciw karykaturalnie powiększającym się kapeluszom; senatorowie odbywali narady czyli raczej tajemne posiedzenia, bojąc się aby w razie ujawnienia nie wybuchła rewolucya. Przedstawiano różne projekta; jeden z senatorów wnosił aby postanowić prawo przeciw tym zbytkom, odpowiedziano mu, że podobne przepisy zawsze bywają gwałcone lub obchodzone. Nareszcie zabrał głos burmistrz miasta, któremu wielce chodziło o to aby obmyśleć skuteczne środki zaradcze, gdyż własna małżonka jego, pani Otfryda, nosiła na głowie tak bezmiernie, większe jeszcze od innych rusztowanie, iż, jak niesie podanie, podczas procesyi musiała schylać się we dwoje, gdyż inaczej nie mogłaby przejść przez drzwi ani zmieścić się w przedsionku katedry. Burmistrz był zdania, że na to kobiece sprzysiężenie tylko potęga jegomość pana szatana poradzić zdoła.

W wiekach średnich szatan nie był jeszcze dobro-

dusznym starowiną kryjącym się gdzieś na setki tysięcy stóp w łonie ziemi; wtedy żył i bywał w świecie, widywano go wszędzie, a szczególniej też w Niemczech. Przechadzał się po ulicach jak spokojny mieszczanin lub wesoły hulaka, wstępował do zajazdów i gospód, gdzie spijał reńskie winko i objaśniał paniczom tajemnice lansknechta i gry w kości, przewracał w głowach dziewczętom a nawet zakradał się do klasztorów, robił słodkie oczy do nowicyuszek, z czego znowu inni śmieli się do rozpuku.

Tak więc jak tylko koledzy zgodzili się na jego wniosek, burmistrz łatwo odnalazł szatana, który gdzieś na krańcu miasta miał sklep starzyzny i przyrządów czarnoksięzkich. Powiedział mu po co przyszedł.

— To bagatela, odrzekł władzca ciemności, dopomogę wam chętnie i od dziś za tydzień nakrycia głowy pań waszych z piramidalnych zmienią się w maleńkie—ale kładę jeden warunek.

— Jaki?

— Pragnę posiadać w Lubece godną mnie świątynię, karczmę wielką jak katedra. Wy obłudni Niemcy, nie macie odwagi przyznać się do waszych przewinień i zboczeń, i dla tego chcąc pić i używać, kryjecie się po piwnicach jak krety w norach; otóż żądam do moich festynów światła i przestrzeni, chcę mieć tak wielką karczmę, aby wszyscy szatani z piekła i wszyscy rozpustnicy z całych Niemczech, mogli sobie swobodnie hulać pospołu.

Burmistrz zawahał się zastanawiając nad tak kosztownym warunkiem, ale pomiarkował prędko że knajpa będzie wystawiona kosztem miasta; kiedy przeciwnie strój głowy żony musi opłacać z własnej kieszeni. Tak więc ugoda stanęła.

Nazajutrz był dzień świąteczny; szatan stanął na drodze, którą pani Otfryda miała iść do kościoła, i ujrzawszy ją, rzekł: „Pozdrawiam najpiękniejszą, najszlachetniejszą, najpiękniej ustrojoną z dam lubeckich. Oh! odrzekła z westchnieniem, nie ja jedna jestem piękną i strojną; mam w Lubece przyjaciołki...“ nie chciała powiedzieć rywalki. „Pani, żadna z nich nie warta jednego paluszka twej ślicznej rączki, odparł chytrze; ale dam ci talizman, który może się przydać każdej choćby najpiękniejszej, najwspanialszej damie. Oto laseczka, gdy tylko dotkniesz nią swego nakrycia głowy, która zechcesz kobieta zbrzydnie w tej chwili; muszę jednak uprzedzić panią iż za każdem takiem użyciem talizmanu, czepek twój zmaleje nieco na wysokość i na szerokość — ale będzie to zmniejszenie tak małe, iż go nawet nie dostrzeżesz.“

Pani Otfryda pochwyciła co prędzej czarodziejską laseczkę, nie dosłyszawszy z pośpiechem ostatnich słów szatana. W kościele usiadła zaraz obok niej jej koleżanka, żona drugiego burmistrza, jasna blondynka, lśniąca od brylantów. Otfryda nie bardzo ją lubiła, a zresztą musiała przecież wypróbować talizmanu. Dotknęła więc swego czepca i spostrzega z radosnem zadziwieniem, że sąsiadka jej widocznie postarzała, piękna cera jej pożółkła, drogocenne dyamenty zamieniły się w proste kamienie. Tuż po za nią rozparła się dumnie małżonka wielkiego sędziego; co to szkodzi żeby i ona trochę zbrzydła. I tak jedna po drugiej przychodziła kolej na wszystkie w kościele panie, dość że gdy pani Otfryda po setny raz może dotknęła laseczką swego czepca, postrzegła z przerażeniem iż zeszedł do tak mikroskopijnych rozmiarów, że zmieściłby się na dłoni. Przestraszona pobiegła do domu zmienić strój głowy, ale, niestety! wszystkie czepce jakie miała, równie zmalały. Któż boleść jej opisze?... ale że była ładna i miała wiele gustu, tak zręcznie przypięła do ślicznych włosów owe okruchy swej świetności, iż wszyscy panowie a nawet panie podziwiały jak jej w tem ślicznie, i gardząc tem co niedawno uwielbiały, powyrzucały na śmiecie olbrzymie czepce rujnujące ich mężów i przybrały się w małe i niekosztowne stroiki, jakie po dziś dzień jeszcze noszą ich praprawnuczki.

Szatan dotrzymał słowa i prosił zaraz grzecznie burmistrza i jego kolegów aby spełnili warunek umowy. Senat tedy zebrał się na posiedzenie; uradzono jednozgodnie że należało działać bardzo przezornie, ale że będą mieć prawdziwą zasługę jeśli oszukają szatana. Postanowiono więc rozpocząć budować niby żądaną karczmę, wystawić gmach wspaniały, większy i okazalszy niż katedra; potem po cichuteńku poświęcić go na kościół, wtedy szatan na wieki będzie z niego wypędzony i praca dokonana na żądanie dyabła, obróci się na chwałę Bożą.

Założono fundamenta, mury zaczęły się wznosić z wielkiem zadowolnieniem szatana który dozorował robót a w nocy wysełał całe hufce dyabełków aby pracując gorliwie przyspieszali ukończenie. Tym sposobem w bardzo krótkim czasie wieże przewyższały wszystkie dzwonnice Lubeki, gmach stanął gotów i szatan przybył w towarzystwie kilku kolegów, zamierzając wyprawić sute osiedliny, aż oto przy wejściu zobaczył kropielnicę z wodą święconą, którą go też hojnie pokropiono. Odskoczył jak oparzony i w uniesieniu wściekłości pobiegł na poblizką górę, oderwał olbrzymią skałę i zamierzał rozwalić nią karczmę poświęconą na świątynię, ale przebiegli senatorowie potrafili go udobruchać, mówiąc: „Cierpliwości, kościół pozostanie kościołem ale i wasza szatańska mość będziesz miał swój pałac“. I tym razem wywiązali się z przyrzeczenia; obok kościoła Św. Maryi zbudowano kolosalną knajpę, która stoi po dziś dzień, odstająca jak brodawka na ścianie gmachu.

I oto z kąd wynikło że w Lubece wieże kościoła P. Maryi są jak można najwyższe, a czepeczki zdobiące głowy kobiet jak można najmniejsze.

Wnętrze świątyni odpowiada wspaniałej powierzchowności, ale nosi widoczne ślady podwójnego napadu i zniszczenia. W XVI wieku, uczniowie Lutra porozbijali posągi, poniszczyli ołtarze, zniweczyli skarby piękna nagromadzone przez dwadzieścia pokoleń artystów i ludzi gorącej wiary. Napastnicy pragnęli nie zostawić ani śladu z tego co nadawało świątyni cechę poetyczną religijnej majestatyczności: pobielili okrągłe łuki sklepienia, upstrzyli mury rażącą bazgraniną, pozalepiali gipsem prześliczne, jak koronka delikatne rzeźby, i gotyckiej świątyni nadali cechę meczetu. Trzeba żywej wyobraźni aby pod tym pasożytnym chwastem, rozpoznać czem katedra mogła być kiedyś.

Gdyśmy obejrzeli kościół, zakrystyan oznajmił że pokaże nam najcenniejszy skarb kościelny, cud Lubeki, zegar na nadzwyczaj sztucznych sprężynach, przy którym zegar Strasburgski jest zaledwie dziecinnem cackiem. Pięć minut przed dwunastą, pewna liczba podróżnych *Anglików*, oszołomionych przez zakrystyana, *Anglików* wierzących że zobaczą coś nadzwyczajnego i licznej gawiedzi, zaciekawionej niewymownie, zaczęła się tłoczyć przed zegar. Za pierwszem uderzeniem dwunastej, kilka framug drewnianych otworzyło się z łoskotem i ukazali się: cesarz Niemiec siedzący na tronie w koronie i z berłem w ręku; przed nim przedefilowało dwunastu elektorów, składając automatyczny pokłon, na który cesarz równie sztywnym odpowiedział ukłonem. I wszystko to znika zanim zegar skończy bić dwunastą, a publika się rozchodzi z sercem przepełnionem wdzięcznością dla zakrystyana, któremu w dodatku trzeba dać talara tringeldu.

Po kościele Św. Maryi, z pomiędzy dwudziestu dwóch innych jakie posiada Lubeka, najpiękniejsza jest katedra, ale tu znać ślady wandalizmu reformy; tuż obok sterczą ruiny klasztoru zamieszkałego niegdyś przez kapitułę katedralną. Tu jak niesie podanie, każdy kanonik bywał uprzedzony o zbliżającej się śmierci swojej, przez pojawienie się białej róży którą tajemnicza jakaś ręka kładła na jego klęczniku. Otóż jak tylko któryś z członków kapituły odbierał to nie koniecznie miłe zawiadomienie, pewny będąc tego że jest zupełnie zdrów i wnosząc że śmierć grubo się pomyliła składając przed nim różę przeznaczoną dla jego słabowitego sąsiada, przenosił ją na jego klęcznik. Ale i tenże tak samo rozumował i straszną posłankę śmierci przekazywał sąsiadowi; dość że w bardzo krótkim czasie róża odwiedziwszy wszystkich z kolei, wracała do właściwego adresanta. Śmierci nie wywiedzie w pole!

Jak Wenecya pałacem dożów, tak Lubeka szczyci się gmachem burmistrzów. Zewnętrzna architektura nie wiele się różni od sąsiednich budynków, ale wnętrze odznacza się rozmaitością, wykwintnością i bogactwem ozdób. Rzeźba na drzewie dosięgła tu zdaje się możliwych granic doskonałości. Olbrzymiego tego dzieła dokonał jeden tylko artysta; nie przekazał potomności swego nazwiska, ale przedstawił samego siebie w pośród mnóstwa posążków które natchnął życiem. Tuż po za sobą postawił postać szatana, anioła upadłego za to że wiedziony pychą chciał tworzyć. Maż to być symbol pychy czy natchnienia?

Jedną z sal zdobią portrety burmistrzów, następujących po sobie w ciągu kilku wieków, lecz w całym tym szeregu daremnie szukamy próżnego miejsca jakiego Marino Faliero.

W Lubece to utworzyło się owo sławne stowarzyszenie, które pod nazwą Ligi hanzeatyckiej, przez ciąg kilku wieków przywłaszczyło sobie monopol handlu w Europie północnej. Pomysł tej Ligi wytworzył się na Wschodzie. Obywatele Lubeki przyłączyli się do krzyżowców: będąc w Palestynie, troskliwość o dobro chrześcijaństwa nie dała im zapomnieć o ich interesach handlowych, ale na każdym kroku spotykali niechęć i przeszkody, stawiane im przez handlujące rzeczpospolite włoskie. Synowie bogatej Wenecyi i pysznej Genui, nienawidzili pragnących współzawodniczyć z nimi kupców z Lubeki, Bremy i Hamburga; ci ostatni chcąc stawić opór tej niechęci, utworzyli w r. 1241 związek hanzeatycki, który umacniał się i rozkrzewiał i nareszcie objął wszystkie handlowe miasta cesarstwa niemieckiego. Utwierdziwszy swą potęgę, Liga zaczęła staczać walki, nie dla zaborów ale wzbogacenia się; warunki nakładane zwyciężonym były czysto handlowej natury.

W każdem zdobytem mieście zatrzymywała dla siebie część gruntu i budowała na nim fortecę i składy towarów; kantory strzeżone były przez szańce zdolne wytrzymać oblężenie; garnizon składali z kolei obywatele Lubeki, Bremy i Sztetinu, trzymający jednocześnie w rękach wagę i szablę. Żadnemu z nich nie wolno było żenić się z cudzoziemkami.

Był czas że do Ligi hanzeatyckiej należało przeszło trzysta miast związkowych; władza jej rościągała się od Alp do krańców Laponji. Z wysokości swych szańców, Kolonija strzegła linji Renu a przedniemi jej strażnicami był Strazburg i Mulhuza; kupcy i towary musiały Hanzie opłacać daninę. Norymberga i Ulm zatrzymywały towary jedwabne prowadzone ze Wschodu, wyroby złotnicze z Grecyi, pachnidła z Egiptu, przewożone na galarach weneckich. Gdańsk pilnował Baltyku, nakoniec Hanza otworzyła Nowogród w stepach Rossyi.

Lubeka była głównym punktem czyli stolicą stowarzyszenia; w jej murach odbywały się coroczne ogólne posiedzenia delegatów wszystkich miast hanzeatyckich. Rada mianowana przez zgromadzenie

zasiadała nieustannie w Lubece, oznaczała wysokość kontrybucyi pobieranych od miast, rozdzielała zyski i kierowała sprawami politycznemi i wojskowemi.

Po dwóch wiekach bogactwa i potęgi, ogólne oburzenie narodów na ten despotyzm handlowy, niezgody wewnętrzne, odkrycie Ameryki i rozwój pracy indywidualnej, powstrzymały postęp Hanzy i przywiodły do upadku wielkie to stowarzyszenie, którego akcyonaryuszami były miasta.

Za czasów świetności swojej, Lubeka wydawała nie raz rozkazy swoim sąsiadom; port jej nie tylko był punktem zbornym handlu narodów, ale dawał także przytułek wojennym flotom nakazującym poszanowanie dla pawilonu i interesów Hanzy. W katedrze Upsalskiej jest obraz przedstawiający senatorów Lubeki siedzących w swoich krzesłach kurulnych, słuchających prośby suplikanta który stojąc z odkrytą głową, błaga ich o pomoc i poparcie. Tym proszącym jest Gustaw Waza, bohater niepodległości szwedzkiej. Zwyciężony przez Duńczyków, prosi dumnych republikanów Lubeki aby mu dopomogli odzyskać tron naddziadów. Widać senat uznał że to dobry interes, bo nie targował się o pomoc; potężna eskadra wypłynęła z ujść Ejdery, powiozła monarchę do jego państwa, dopomogła zwyciężyć Duńczyków, czuwała nad Baltykiem i rozstrzygnęła o losie jednej z koron skandynawskich.

Dziś z dawnej wielkości Lubeki pozostał zaledwie cień wolności. Jeśli mierzyć szczęście grodu liczbą zgromadzeń obradujących, Lubeka powinnaby być nader szczęśliwą gdyż posiada aż trzy parlamenta. Senat jest obierany przez wysokie mieszczaństwo, w połowie z jej łona, w połowie z osób posiadających stopień doktora prawa. Zgromadzenie mieszczańskie wybierane jest przez głosowanie wszystkich obywateli, i z kolei wybiera ono izbę pośrednią, zwaną Izbą notablów. Burmistrze których jest dwóch, jak niegdyś dwóch konsulów w Rzymie, wybierani bywają przez trzy powyższe zgromadzenia, i z kolei przewodniczą w senacie. Zgromadzenia te posiadają nieograniczoną władzę pod względem administracyi wewnętrznej i policyi, i mają prawo nadawania godności mieszczanina Lubeki. Nowy obywatel wprowadzony do wielkiej sali ratuszowej, w obec senatu i burmistrzów wykonywa przysięgę wierności miastu które go przybrało za syna.

(*d. c. n.*)

## SŁOWIK.

**Fragment**

(Ze zbioru poezyi Jana Kollara).

Králi zpěvu
Nejslavnějsí
Synu jara
Najmilejsí. *J. K.*

Królu śpiewu!
Najsławniejszy,
Synu gajów
Najmilejszy.

Nuć piosenkę swoją nuć
Krzaku nie porzuć.
Ja cię całym słucham uchem,
Całem sercem, całym duchem...

* * *

Niech tam inni mkną
Na koncertów rój,
Na zabawy, gry, hulanki,
Z tobą jam wciąż — twój...

* * *

I cóż Mozart?
Cóż Rossini?
Cóż Liszt? Heiden?
Paganini?
Twoje pieśni istny cud.
Bo je śpiewasz z Bożych nut...

*Miron.*

# ZAKLĘTA KSIĘŻNICZKA.

NOWELLA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Marysia poczęła szeptać cicho.

— Villamarina radaby cię wyswatać za niego, bo jest w przyjaźni wielkiej z ciocią, panna Eufrozyna bo ją Maks w ręce całuje... Filipowicz, bo go poi, a ty? cóż ty? przyznaj mi się...

— Czyż nie wiesz?

— Ale tak — szczerze... serdecznie?

Tekla obejrzała się i strzepnęła pięknemi rączkami.

— Daj mi pokój, ja ani jego ani żadnego nie chcę, póki nie będę wiedziała kto jestem... i co mnie czeka.

— Dla tego tylko go nie chcesz? badała Marysia.

— I dla tego i — że — że...

— Jemu z oczów głupio patrzy — naiwnie odezwała się Marysia.

— To prawda...

— Słyszałam nieraz — ciągnęła dalej Rzepczakówna — że to ma być bardzo wygodna rzecz pójść za człowieka głupiego... Może to być — ale zarazem bardzo smutna... Wolałabym kłócić się z rozumnym, niż kochać z... O! ty jesteś bardzo wytrawną i rozumną — ciągnęła po chwili — że nie dajesz poznać po sobie co o nim myślisz... Co ci to szkodzi że koło ciebie będą tańcować...

— Dosyć to nudne — szepnęła Tekla — czasem aż niecierpliwiące — ale ja mam dosyć mocy nad sobą, by nie zdradzić się... ziewam wewnątrz... a uśmiecham się.

Marysia się głośno rozśmiała.

— Przecież się to kiedyś skończy — dodała panna Tekla. Przyznam ci się, moja Marysiu, że tej chwili co o mojej przyszłości zawyrokuje, oczekuję z najżywszą niecierpliwością. Okropna to rzecz tak od dzieciństwa chodzić w ciemnościach.

— Jeżeli się wie że z nich wnijdzie się do sali balowej, toć znośniej niż chodzić po jasnej ulicy, nie mając gdzie wejść i przytulić głowy.

— Ale któż ci powiedział że mnie czeka sala balowa? zapytała bystro Tekla... W tem wszystkiem co się ze mną dzieje są nierozwikłane zagadki — moja droga Maryś — mówiła po cichu smutnie — oni sobie tworzą co chcą na mój rachunek... ale mogą się mylić bardzo. Ja sobie przypominam dzieciństwo... wychowywała mnie dobra, uboga kobieta, bardzo skromnie, nie było tych dostatków... nikt się nigdy nie dowiadywał o mnie ani do mnie, choć na wsi, bardzo mógł i przybyć i widzieć kto by był chciał nie będąc postrzeżony. Chodziłam boso... pamiętam... jadłam chleb razowy... w domku było biednie, perkalowa sukienka na święto... Zmieniło się to dopiero na pensyi i to stopniowo, powoli...

Mnie czasem strach ogarnia... gdy się te wrota zamknięte otworzą, co ja tam zobaczę za niemi? Pustkę może... dwa trupy... albo a! któż to odgadnie?

Mam lat dwadzieścia... wszakżeby to się skończyć powinno ..?

— A! moja droga... skończy się aż nadto rychło... nie wyzywaj — poczęła Marysia... otworzy ci się świat szeroki — i woskowane posadzki... po których chodzić tak ślisko... A tego ci nie zazdroszczę. Ja swobodna jak ptaszek polecę, a ty — biedna...

To mówiąc uściskała ją ze łzą w oku i rozśmiała się zaraz.

— A dajmy bo pokój temu! Po co sobie łamać głowę... Co przyjdzie, to przyjdzie...

— Słuchaj, do mojego ojca przychodzi na objady ubogi, stary, poczciwy kancelarzysta... Ojciec go bardzo szanuje, bo to człowiek zacny i prawy... Zwykle gdy się ukaże w progu, ze swym nieodstępnym parasolem pod pachą, ojciec spieszy razem mu parasol odebrać i szepnąć co będzie na objad... Stary mu usta zamyka. Ależ proszęż mi nic nie mówić, panie Rzepczak... tyle przyjemności w życiu co człowiek nie wie co go spotka — sztuka mięsa biała lub flaki!! I ma słuszność.

Tekla się uśmiechnęła smutnie.

— Przynajmniej ja — mówiła Marysia — nic się nie troszczę o przyszłość, póki ręce zdrowe i głowa na karku. Dam sobie jakoś radę. Gdybyśmy życie odrazu przeczytali całe, nikomu by się żyć nie chciało.

— Ale bo nikt nie ma jak ja wiszącego nad głową miecza — odezwała się Tekla.

— Zawsze ty sobie wyobrażasz te miecze...

— Mam jakieś przeczucie straszne? Przyznaj sama, tybyś się na mój los nie pomieniała?

Marysia zamyśliła się poważnie.

— Nie wiem, rzekła — nie jestem ja w najświetniejszem położeniu, ale...

— A ja... mieniałabym się na cokolwiek bądź, byle było jasne i czyste, mówiła Tekla... Te ciemności! te ciemności! szepnęła na dłoni opierając rękę.

— Ja ci dam sposób by je rozproszyć—rzekła chustkę w ręku mnąc Marysia—pozwól się sobie oświadczyć panu Maksowi, przyjm go... a jak przyjdzie do ślubu... wszystko się odkryć musi...

— To by było trochę za drogo... rozśmiała się Tekla.

— Mogła byś potem zaraz tę lalkę porzucić...

— A! nie mam ochoty bawić się lalkami...

I śmiały się smutnie.

— Ja sama niezmiernie jestem ciekawą — poczęła Rzepczakówna, jak to się z tobą skończy, bo jużcić tak wiecznie na pensyi siedzieć nie możesz, zwłaszcza teraz gdy się pan Maks tu wkręcił i opiekunowie twoi wiedzą o tem... Filipowiczowie oddali ci przysługę... bo pewnie w ten sposób przyspieszą rozwiązanie zagadki.

— To prawda — przerwała Tekla — na myśl mi to nie przyszło... to mnie pociesza... a! byłoby też dobrze być wyzwoloną.

— Od wąchania pomady, którą się ten Maks smaruje... dodała Marysia... któregoś dnia spotkałam się przypadkiem z jego kapeluszem leżącym na krzesełku... a! okropność!!

— Pomada — to jeszcze nic — ale chustka per-

fumowana, którą serca chce podbijać... ale wszystkie te wonie, które z nim wchodzą do salonu... a!

I śmiały się znowu...

— Ty, moja Tekluniu — mówiła Marysia — powinnaś nawykać do woni i perfum... Ja bym tego nie potrafiła... Mnie każda zalatująca woń ta sztuczna, przeraża myślą iż pokrywa szatański zapach jakiś... Ja wolę już co szczerze śmierdzi! Prawda, żem się przy kuchni wychowała i tłusty czad czasem mi się głodnej przyjemnym musiał wydawać...

To mówiąc brzydkie swe, choć czyste ręce wyciągnęła ku Tekli i położyła je przy jej białych, pieszczonych paluszkach.

— Patrz Tekluniu — odezwała się, te ręce nasze, to jakby dwie historye życia i dwie przyszłości przepowiednie... Jak się to one zeszły, spotkały i uścisnąć mogły... i pokochać! A ja dziś jeszcze tego szczęścia nie pojmuję...

To mówiąc chciała ją w te białe ręce pocałować, ale Tekla wzięła ją za głowę i na czole pocałunek wycisnęła, a obok niego spadły dwie łzy gorące.

Śmiech zmienił się natychmiast w płacz — obie się rozłzawiły... Milczały, gdy u drzwi dał się słyszeć szelest. Marysia zerwała się i usiadła porywając książkę, Tekla otarła oczy prędko i na drzwi spojrzała. Wchodziła właśnie pani z Villamarinich... obie panienki wstały.

Okiem surowem zmierzywszy Rzepczakównę, poważna pani z czułością wielką zbliżyła się do Tekli i odciągnęła ją na bok nieco.

— Moja droga — kochana Tekluniu — szepnęła do niej, przyjdziesz do mnie na herbatę... Może kto będzie (dodała z przyciskiem) rozerwiesz się trochę. Proszę cię. Trochę się ubierz... W czarnej twej sukni jedwabnej nadzwyczaj ci ładnie...

— To mówiąc zlekka usta przyłożyła do jej czoła...

— Główka taka gorąca! czy nie boli?

— O! nie...

— Rozmawiałyście pewnie zbyt żywo.

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, pani z Villamarinich przeszła się po pokoiku i, nawet nie patrząc na Marysię, uśmiechnąwszy się tylko do Tekli, wysunęła się z pokoju.

W tej chwili prawie, figlarnie uśmiechnięta dziewczyna służąca, wpadła z bukietem fijołków w ręku... i podała go pannie Tekli.

— Cóż to ma znaczyć?

— A, już to, proszę panienki — panienka się domyśli co ma znaczyć...

I usta sobie dłonią zakrywszy, śmiać się zaczęła, zanosząc prawie, tak jej było wesoło...

— Ja się nie domyślam.

— Et! co to takie rzeczy mówić ludziom! niby panna nie wie od kogo... Jakby tu kto inny z bukietem przyszedł, dopieroby były historye. Ale! toż tylko jeden jest co mu wolno *z bukietyma* chodzić... to się wie...

I machnąwszy ręką służąca chciała wyjść, gdy Marysia zawołała na nią.

— Panno Doroto!

— Alboż co?

— Przyznaj się — pocałował pannę oddając bukiet?

Dorota krzyknęła zakrywając sobie oczy. Obie panienki śmiać się zaczęły...

— Wszak prawda? dodała Marysia.

— A choćby tam *bez* grzeczność i cmoknął — to co! zawołała panna Dorota.

— Zapewne że to nie grzech — dokończyła Marysia — ale na kawalera co bukiety nosi... to nie ładnie...

Dorotka nagle spoważniała, podeszła na palcach do panien i załamując ręce—rzekła...

— Co prawda że mnie za każdym razem całować chce... a no—to nic—przecie mi się nie stanie przez to nic — ale (tu zniżyła głos) jak Boga mojego kocham (obejrzała się) pannę Eufrozynę...

Wyszepnąwszy to usta sobie zatuliła i uciekła.

---

Wieczorami tych dni gdy pani z Villamarinich miewała gości—salonik jej oświecony trzema lampami, z których jedna miała bogate pokrycie z robionych kwiatów przedstawiał się tak ładnie... tak jakoś smakownie i elegancko — iż sama pani nawet w nim się lubowała.

Meble były aksamitne—o tem nawet i mówić nie potrzebujemy, palisandrowe, przed kanapą dywan wyszyty na imieniny przez uczennice, jaskrawością barw nie ustępował najświetniejszym wyrobom najpierwszych fabryk zagranicznych.

Na stoliku leżała obfitość albumów oprawnych wspaniale. Z fortepianu zdejmowano okrycie, które w dni powszednie chroniło go od chłodu, na konsolkach bronzowanych stały statuetki Joanny d'Arc i Kochanowskiego, wprawdzie gipsowe, ale gips ze stearyną jest znakomitym wynalazkiem.

W te dnie uroczyste a raczej wieczory, małżonek-administrator przywdziewał frak, czesał bakenbardy, kładł biały krawat, a niekiedy nawet i białą kamizelkę... Koszulę nauczycielską, spyloną prochem z tablic... okrywał naówczas świetny przód fałszywy od idealnej koszuli nie egzystującej, a takież mankiety z guzami oryentalnemi, usiłowały przekonywać że istotnie ideał ów był rzeczywistością. Buty pana Filipowicza przybierały na te występy glans nadzwyczajny, a chustka świeża udowodniała swą przytomność wychodząc ciekawie na świat z kieszeni.

Pani z Villamarinich brała broszę z kameą, bransolety ojczyznę przypominające z lawy Wezuwjusza rzeźbione, batystowy gałganek w pulchne rączki i coś na głowę takiego, coby poczynającą się łysinkę kryło nie ciężąc bardzo... Panna Eufrozyna odznaczała się strojem poważnym, surowym, przystającym ściśle do jej figury i rysującym posagowe jej kształty, które jej jedne pozostały z przeszłości...

Z panien rzadko która dostępowała szczęścia napicia się tu wodnistej herbaty z sucharkiem, oprócz panny Tekli. Zapraszano chyba te z nich, których krewni albo rodzice przybyć mieli.

Herbatą zajmował się sam administrator, a, żeby nie wychodzić z tradycyi, robił ją równie lekką jak dla całej pensyi, z małemi wyjątkami osób uprzywilejowanych. Jeżeli ktoś z miasta przybył do salonu pani z Villamarinich, która z dawnych, lepszych czasów młodości miała licznych przyjaciół i znajomych, mógł zapomnieć że był na pensyi. Młodzież albowiem uspakajano zawczasu, i żaden śmiech ani wrzawa niewczesna nie mąciła harmonji, nie zawadzała dobranemu zawsze towarzystwu.

Pani była bardzo trudną w wyborze osób do niego przypuszczalnych, musiały one, aby otrzymać przystęp do tego przybytku, odznaczać się czemś, mieć za sobą coś, coby o nich opowiedzieć się dawało i tłomaczyło ten zaszczyt, który się stał ich udziałem.

Majątek, imię, znakomity talent, stosunki były tu na równi cenione i podnoszone wysoko... Sama pani wedle stopni zasługi i znaczenia odmierzała względy jakiemi gości swych zaszczycała. Czasem jednak i mniej zasłużeni dostępowali honoru przyjęcia, jeżeli na coś skaptować i zjednać sobie chciano. Naówczas dla usprawiedliwienia wyjątku, szeptano na ucho o wielkich skrytych zdolnościach i nadziejach przyszłości.

Tego dnia, oprócz domowych, do których się liczyła panna Tekla, zaproszoną była ciocia pana Rabsztyńskiego, z Rabsztyńskich Habingerowa, tytułująca się baronową z powodu niemiecko brzmiącego nazwiska. Tytuł ten korygował Habingerowstwo, samo z siebie, dla panny Rabsztyńskiej niepoczesne. Baronowa godnie nosiła swoje *de domo;* chociaż majątku było nie wiele i mąż, jak mówiono, chodził dzierżawami — nader była troskliwą o to, aby ją za ladajaką prostą Habingerową nie brano. Wiele rzeczy na sobie nosiła herbownych, a samo trzymanie głowy, wielce dostojną osobistość oznajmywało. Była mocno nieładna, nie odznaczała się też żadnemi przymiotami nadzwyczajnemi umysłu serca, ale pamięć miała szczególną, i pokrewieństwa i kolligacye znała doskonale, zawsze niemi podpierając to nieszczęśliwe habingerowstwo. Moja kuzynka hrabina, mój kuzyn książę... i t. p. nie schodzili z ust jej w ciągu rozmowy, częstokroć najdziwniej przyszyci jakoś — ni przypiął ni przyłatał do przedmiotu o którym mówiono.

Niegdyś ciocia baronowa była wielką, wielką muzyczką, jakąś uczennicą Fielda czy kogoś równie sławnego, ale reumatyzm w rękach uwolnił ją od produkowania się z grą, i pozostawił tylko z przywilejem surowego sądu o innych młodzieńczych talentach.

O tych zwykle wyrażała się tajemniczo, z uśmiechami, z ruszaniem brwi i potrząsaniem głową, nie tając że ją nie zadawalniały.

— Zapewne! zapewne, mówiła — nowa szkoła... piękne rzeczy, wielka biegłość! ani słowa, ale w dotknięciu... w wyrazie brak mi zawsze tego czegoś... no... już państwo mnie zrozumiecie... tego... i t. p.

Wirtuoztwo pani baronowej weszło było w tradycyę, i nikt nie wątpił że, gdyby nie reumatyzm—nie sprostał by jej ani Rubinstein ani Bülow nawet.

Z ciocią przybył uperfumowany wdzięcznie, strojny z nadzwyczajnym szykiem, piękny pan Maks, na którym oczy pani i panny Eufrozyny spoczywały z rozkoszą. Panna Tekla która z sobą na wieczór jakąś robótkę przyniosła, miała wejrzenie spuszczone skromnie, chociaż pan Maks natychmiast się przysiadł do niej. Ciocia siedząca z panią domu na kanapie, spoglądając na tę hożą parę, szeptały coś między sobą.

Filipowicz, który wieczorami, o ile mu jego obowiązki administratorskie dozwalały, mieszał się nieco do rozmowy, zawsze jednak na baczności mając, aby zbytkiem odwagi żony sobie nie narazić, chodził po pokoju mając ręce założone pod poły fraka. Był to ruch największej emancypacyi i poczucia samoistności dowodzący. Ile razy żona spojrzała nań ostrzej, ręce wychodziły z pod fraka i wisiały po bokach jak u figur woskowych.

Tego dnia, Filipowicz skutkiem z rana odegranej ważniejszej roli, czuł się usposobionym do dawania sobie pierwszych tonów, tem bardziej że żona zajęta rozmową z ciocią baronową, nie bardzo nań zważała. Trzymał więc stale ręce pod połami i patrzał niekiedy w duże zwierciadło, jak mu z tem dobrze było.

Dozwolono panu Maksowi, którego panna Tekla obojętnemi zbywała półsłowami, zabawiać ją rozmową i westchnieniami. Młodzieniec w tej roli kochanka był nadzwyczaj skłopotany, panna miała usposobienie poważne, on zaś był trzpiot, i tak dalece mówić o czem innem jak o ulicznych plotkach nie umiał... Daleko mu raźniej szło z Dorotką, we drzwiach domu, a nawet z panną Eufrozyną na progu jej pokoju. Jak tylko musiał być smutnym, zaraz mu się zbierało na ziewanie, a ziewnąć siedząc przy pannie — wiedział że było to kryminałem. Męczył się więc i kapelusz okrągły który trzymał w rękach padał ofiarą, czesał go bowiem to pod włos to z włosem i trapił straszliwie.

Wszystkie przedmioty rozmowy powoli się wyczerpały... panna jej nie podsycała, nadchodziła chwila krytyczna, pan Maks szukał w pamięci przyzwoitych anegdot... ale znajdował w niej na złość same nieprzyzwoite. Odstąpić zaś od panny zdawało mu się niewłaściwem.

W tej chwili męczarni i niepewności, stało się coś, czego nigdy na żadnym wieczorze nie bywało... Stał się wypadek... Jakiż? tego nikt odgadnąć nie mógł, wszyscy przytomni jednakże poczuli że zaszło coś niesłychanie ważnego...

Pan Filipowicz, który był wyszedł w celach administracyjnych z salonu... wpadł z głową rozczochraną, nagle, szybko, wprost na nikogo nie zważając do pani. Zaczął pochyliwszy się ku niej coś jej szeptać do ucha... pani z Villamarinich pochwyciła się naprzód za głowę, załamała ręce, potem spojrzała na Teklę i pana Maksa, w ostatku pochyliła się ku cioci baronowej i zaczęła jej coś szeptać. Ciocia okazała wzruszenie wielkie i jakąś niepewność. Drgnęła na kanapie, sparta na niej rękami obiema jakby chciała wstać i padła na poduszki.

W czasie tych ruchów i szeptów, Filipowicz stał to na żonę patrząc, to na drzwi, i jakby naglą o pośpiech, w tem żona rękami wskazała mu ażeby co najrychlej z salonu się wynosił, co też on dopełnił, ale nie wprzód aż mocno odchrząchnąwszy i oczyma znacząco wskazawszy na parę... złożoną z panny Tekli i Maksa...

Nim pan Filipowicz spełnił naglące przykazanie wszechwładnej połowicy swej, zaszła jeszcze jedna okoliczność. Niespodzianie ciocia baronowa, w chwili gdy pan Maks miał znaleść przyzwoitą anegdotkę do opowiedzenia, podniosła głowę i ozwała się do niego, głosem miłym, nieco przez nos...

— *Cher Max?* a palcem wskazała iż się miał zbliżyć do niej.

*Cher Max'owi* strasznie się widziało odchodzić od panny, udał że nie słyszy, ciocia w trybie rozkazującym i naglącym powtórzyła *Cher Max*, i trzeba było wstać... Tak też uczynił młodzieniec, ale z powolnością i ociąganiem się widocznem. Tymczasem Filipowicz dopadłszy drzwi i pochwyciwszy już za klamkę, zdawał się jeszcze czekać na coś i nie wyszedł z salonu, aż *Cher Max* znalazł się przy cioci.

W saloniku nastąpiło milczenie dziwne, oczyma coś sobie mówiono, panna Eufrozyna, poszła miejsce Maksa zająć przy Tekli... cicho było, cicho tak że ciężki oddech pani z Villamarinich jak dalekie echo kowalskich miechów dał się słyszeć wszystkim zwiastując niby burzę...

Wszyscy też czuli iż się coś stało, coś miało stać... okropnego...

(*d. c. n.*)

# RAGUZA, CATTARO I CZARNOGÓRZE.

## Wycieczka do obozu powstańców hercegowińskich.

(Wrażenia pewnej damy angielskiej z podróży po słowiańskich krainach pod jarzmem tureckiem).

**Ustęp z „The Cornhill Magazine."**

(Dalszy ciąg).

## II.

## CATTARO I CZARNOGÓRZE.

Cattaro rozłożyło się u stóp Czarnej-góry (Montenegro), w głębi odnogi morskiej zwanej „Ujściami Cattaro." Ujścia te ciągną się piętnaście mil wzdłuż i blizko pół mili w szerz, i podobniejsze są do ujścia rzeki ściśniętej między górami, niż do odnogi Adryatyku. Piękny dzikością krajobraz, przypomina widok jezior szkockich. Z dwóch stron sterczą czarne i groźne skały, których boki pokrywają lasy dębowe i sosnowe, a nagie szczyty giną w obłokach. Ma to być najbezpieczniejsza z nadbrzeżnych miejscowości; nagle powstają szalone burze, a wiatr północny z gwałtownym rykiem wciska się między skały. Jasne i błyszczące niebo zmienia się w jednej chwili i noc czarna zapada; nie jednokrotnie sternik wskazuje podróżnikom na statku małą białą chmurkę przesuwającą się po niebios błękicie, mówiąc: „Burza nadciąga" i zanim zdoła zwinąć żagle, powstaje straszny uragan i deszcz ulewny padać zaczyna.

Niepogody zmusiły nas odwlec o pięć dni podróż do Cetynji; nareszcie wiatr się zmienił i pomimo dużego zimna chmury się rozeszły, atmosfera była czysta i przejrzysta, niebo piękną zajaśniało pogodą. Zamówiliśmy konie i o siódmej rano puściliśmy się w drogę. Przebywszy stary most i plac targowy, trzeba było z trudnością wdzierać się pod górę. Droga wiła się gzygzakiem aż ku szczytowi, przechodząc niekiedy po nad przepaścią, tak że spuściwszy wzrok na leżące w dole o setki stóp niżej miasto Cattaro, dostawało się zawrotu głowy.

Dźwięk dzwonów dochodził do nas czysty i wyraźny, a głosy górali rozlegające się wysoko po nad naszemi głowami, dawały się słyszeć tak dobrze jak gdyby rozmawiali tuż obok nas. Schodzili gromadami niosąc pataty, jaja i mleko, aby je sprzedać mieszkańcom ujść Cattaro lub zamienić na potrzebne im produkta przemysłu miejskiego. Przykre zrobił na nas wrażenie widok biednej, wątłej i chwiejącej się kobiety, upadającej pod ciężarem jaki dźwigała, podczas gdy silny idący obok niej mężczyzna, szedł sobie swobodnie nic nie niosąc. Prędko jednak oswoiliśmy się z podobnymi widokami i przekonaliśmy się, że należy uważać górali czarnogórskich za wyjątkowe osobistości, którzy dwie tylko rzeczy umieją: podczas wojny bić się, w czasie pokoju spacerować bezczynnie.

Młode dziewczęta są dość ładne, ale zmieniają się bardzo prędko, gdyż w trzynastym lub czternastym roku życia wychodzą za mąż, i rozpoczynają życie pracy i biedy. W całym kraju dwom tylko kobietom wolno jest zajmować się czytaniem i pisaniem, żonie księcia i prezesa senatu, a i te nawet muszą doglądać kuchni i posługiwać do stołu. Ma się rozumieć że skutkiem swego wychowania, nie znają i nie nauczyły się jeszcze odwoływać do praw kobiety!

Około dziewiątej dojechaliśmy nareszcie do starej fortecy weneckiej, strzegącej doliny od strony Czarnogórza. U stóp jej sterczą ruiny rozwalonych domów, których gruzy dowodzą dzikości mieszkańców tych gór; często bowiem bardzo zdarzało się iż podczas nieurodzajów w Czarnogórzu, górale ci napadali na sąsiadów, łupiąc zarówno Turków jak i chrześcijan. Tak tu jak w okolicach Raguzy pozostały liczne ślady tych grabieży.

W miarę wstępowania coraz wyżej, napotykaliśmy coraz liczniejsze gromady. Kobiety przybrane były w długie białe kaftany, mężczyźni mieli na głowach czerwone czarnogórskie kapelusze; zdobne literą imienia panującego księcia „M." (Mikołaj I), a po nad niemi korona; wszystko to wyhaftowane złotem. Na kapeluszach zawiązane były czarne wstążki, na znak żałoby że Turcy zajmują Serbję. Na nogach mieli sandały z wołowej skóry, w których szli lekko i swobodnie, nie trzymając się krętej ścieżyny po jakiej wdzieraliśmy się z trudnością, idąc samym brzegiem skał, tuż po nad przepaściami i rozmawiając spokojnie z towarzyszami.

Po dwugodzinnem blizko wdzieraniu się na górę, dostaliśmy się w strefy śnieżyste; jak okiem dojrzeć rozścielał się do koła piękny śniegowy kobierzec, gruby na dwie stopy. Okolica była coraz dziksza; przypomniała nam jeden z obrazów Dore'go, przedstawiający piekło. Nie dostrzegliśmy nigdzie ani śladu jakiegoś mieszkania, aż dopiero przybywszy do wsi Niegusz, gdzie stanęliśmy przed chatą pokrytą słomą, od dachu której wisiały sople lodu; lepianka ta nosiła zaszczytne miano „oberży.". Szczęściem mieliśmy z sobą zapas żywności, gdyż w chałupie tej nie można było nic dostać, prócz czarnego chleba, starej wódki i kawy. Gdyśmy zasiedli do stołu, otoczyły nas gromady żon i dzieci powstańców; nic do nas nie mówiły, ale zwracały tak pożądliwe spojrzenia na nasz posiłek, iż wypadało nam podzielić się nim z niemi. Biedacy, pomimo przygniatającej ich nędzy, jeszcze nie nauczyli się żebrać!

Zobaczywszy srebrne kolczyki i naszyjniki zdobiące kobiety Hercogowińskie, przyszła nam chęć kupić je od nich, ale trudno pojąć jak ciężko im przychodzi rozstawać się ze swemi klejnotami. Odziane łachmanami, głowę stroją srebrnemi łańcuchami i złotemi monetami. Widząc że chcę kupić jakieś z ich kosztowności, stara gospodyni oberży skinęła na mnie abym poszedł za nią i wprowadziwszy mnie po drabinie na strych którego nieporządku i brudu opisać niepodobna, otworzyła stary kufer i pokazała mi kosztowności jakich pozazdrościłaby jej nie jedna księżna. Wyjęła pas, który jak mówiła kosztował drogo; wyrobiony był masiw ze srebra, zdobny do koła zwieszanemi takiemiż łańcuchami. Obok podobnych klejnotów, kobieta ta posiadała 40 do 50 koszul jedwabnych, haftowanych różnemi kolorami. Chciałem kupić jedną i ofiarowałam jej dość znaczną stosunkowo sumę, odmówiła jednak mówiąc że chowa to wszystko dla córki gdy pójdzie za mąż. I wskazała na dziesięcioletnią dziewczynkę, przyświecającą nam lampką: „Umie czytać, dodała, mogę być pewną że zrobi świetną partyę".

Niegusz szczyci się wielkim budynkiem, któremu, jak utrzymują Nieguszanie, nie ma równego w całej Cetyni. Nie zachwycił nas wcale; jestto po prostu dom zbudowany z gładkiego kamienia, bardzo podobny do stajni; jednak gdyśmy później obejrzeli wszystkie gmachy w Cetyni, pojęliśmy łatwo że mieszkańcy Niegusza mogą być dumni ze swego budynku.

Skończywszy skromny posiłek, jak tylko wierzchowce nasze odpoczęły, w dalszą puściliśmy się drogę, która była teraz bardzo nużąca, nierówna i pełna zasypów śniegowych, trzy do czterech stóp wysokich. Droga ta prowadzi na najwyższe wyżyny miejscowe, z których przepyszna rozwija się panorama. W dali, po za górami Albanji, ukazuje się ciemne i tajemnicze jezioro Skutari, a nieco bliżej zaczyna się równina cetyńska, a nawet dostrzedz można dym unoszący się po nad miastem.

W godzinę później wjeżdżaliśmy na główniejszą ulicę Cetyni. Stolica Czarnogórza bardzo przypomina wielką wieś higlandów szkockich. Jestto jakby jedna wielka i szeroka ulica, przecięta drugą mniejszą; po obu stronach każdej z nich wznoszą się małe domki, po większej części słomą kryte, z których ani jeden nie może się pochlubić kominem.

Dopiero bardzo niedawno temu, niektórzy nader głębocy i postępowi miejscowi myśliciele, *wymyślili* przeprowadzić rury przez okna i tym pierwotnym sposobem wytworzyć ujście dla dymu.

Gdyśmy przejeżdżali, gromady mieszkańców wybiegały na ulicę aby nam się przypatrzeć, bo rzadko bardzo można spotkać cudzoziemców w stolicy Czarnogórza. Zabawne było widzieć wychodzących z tych pomieszkań, które można nazwać „lepiankami" oka-

załych wojowników, strojnych w zielone ze złotem mundury, i noszących przy kapeluszach senatorskie oznaki. Nie okazywali natarczywej ciekawości, tylko pozdrowili nas uprzejmie. Niezadługo powitał nas adjutant księcia przedstawiający się w charakterze urzędowym, oznajmił że przygotowano nam pomieszkanie w starym pałacu, gdzie uważani będziemy za gości księcia.

— Jeżeli państwo chcecie zatrzymać się chwilę zobaczycie J. Ks. Mość gdyż będzie przejeżdżał tędy.

Zaczekaliśmy tedy i cierpliwość nasza hojnie wynagrodzoną została, gdyż oczom naszym przedstawił się widok bardzo niezwykły w prozaicznym XIX wieku. Zdawało nam się że patrzymy na pojedyńczy ustęp z średniowiecznej legendy. Książę i przyboczna jego gwardya, przybrani w przepyszny strój narodowy, nadjechali szeregiem; Mikołaj I odróżniał się od świty wspaniałym błękitnym płaszczem zarzuconym na ramiona. Orszak składał się ze stu gwardzistów, wszyscy dorodni i pięknej postawy, żaden jednak nie dorównywał księciu. Mikołaj I wydawał nam się na lat trzydzieści kilka, wysoki i pięknie zbudowany, uchodził za najsilniejszego i najdzielniejszego ze wszystkich swoich poddanych, a nie mała to pochwała. Twarz miała wyraz prawości i szczerości i często rozjaśniał ją nader ponętny uśmiech.

— A co? jak piękny nasz książę! zawołał z zapałem nasz przewodnik.

— Prawda! odrzekliśmy chórem.

Gdyśmy mijali się z księciem i on i cała świta ukłonili nam się bardzo uprzejmie, poczem udaliśmy się do gościnnie ofiarowanego nam mieszkania. Z jakąż to radością zasiedliśmy przed piecem w którym suty płonął ogień, i owiani jego ciepłem, zapomnieliśmy że na dworze zimno i śnieg pada.

Odpocząwszy z godzinę, trzeba było zdobyć się na odwagę przerwania naszego *dolce farniente* i wybrać się na miasto zobaczyć co może być warte widzenia. Tuż w pobliżu rezydencyi książęcej, rośnie drzewo zwane „drzewem sprawiedliwości" i cieniem swym osłania fontannę urządzoną dla użytku publicznego. Nie każdemu może wiadomo że w Czarnogórzu, przechowującem dotąd wiele patryarchalnych pierwotnych zwyczai, nie ma ani parlamentu ani sądów. Ludność zwraca się wprost do księcia ze swemi skargami i zażaleniami, i ten, jak niegdyś Ludwik św. pod dębem w Vincennes, słucha skarg swoich poddanych i wydaje wyrok lub niekiedy odsyła strony do kodeksu czarnogórskiego. Podczas pięknej pory lud tłumnie nadciąga ze wszystkich stron na te dawane im przez księcia posłuchania, i wydane przez niego wyroki nigdy żadnym nie podlegają sporom.

Mordercy bywają karani śmiercią, ale nie wieszają ich tylko wystrzałem odbierają życie. Karę śmierci postanowił książe Daniło, aby raz położyć koniec strasznym *vendettom*, tym krwawym spadkom przekazywanym z pokolenia na pokolenie.

Gwałty i kradzieże karane są więzieniem, ale nigdy dłuższem jak lat siedem i więźniom wolno jest zawsze używać przechadzki w około swego więzienia; a nawet *znakomitsi* przestępcy mają przywilej udawania się aż do Cattaro. Więźniowie opłacają pewną stale oznaczoną sumę na swe utrzymanie i mogą być używani do robót publicznych. Kobiety, nie pobierają żadnej edukacyi, ale też nie podlegają tym samym prawom karnym co i mężczyźni. Moralność jest tu nader ściśle przestrzegana, i najlżejsze wykroczenie przyzwoitości, bywa bardzo surowo karane.

Nazajutrz po naszem przybyciu, zbudził nas bardzo rano silny uragan połączony z deszczem, wiatr północny zmienił się na południowo-wschodni i sprowadził odwilż. Jakże ponury widok przedstawił się naszym oczom gdyśmy otworzyli okno! Gęsta mgła zasłaniała całą perspektywę, z wyjątkiem kilku miejsc przez które można było dojrzeć dzikie góry otaczające płaszczyznę. Na prawo wznosiła się okrągła wieża, do której straszne łączyły się wspomnienia. Tu, podczas bytności swojej w Czarnogórzu, sir Gardiner Wilkinson widział zawieszony szereg głów świeżo odciętych Turkom. Na lewo stoi nowy pałac, rezydencya księcia, a mały otaczający go ogródek, wygląda jak oaza pojawiająca się na puszczy. Obecnie jednak, skutkiem ulewnego deszczu, wszystkie ulice zamieniły się w kałuże błota. To też łatwo wyobrazić sobie nasz kłopot, gdy odebraliśmy od J. Ks. Mości zaproszenie na objad tegoż dnia wieczorem; ma się rozumieć że zaproszenie takie równało się prawie rozkazowi.

Co tu począć, jakim sposobem, w strojnem ubraniu, przejść piechotą przez ogród i ulice zalane wodą? Bo trzeba wiedzieć że o karecie w Cetyni nawet marzyć nie można. Nie było rady, rządząc się przysłowiem: kiedy wleziesz między wrony i t. d. musieliśmy będąc w Czarnogórzu zastosować się do miejscowego zwyczaju, i nie zważając na wzburzone żywioły wsiąść na małe krajowe koniki, które poniosły nas do pałacu na oznaczoną godzinę. Wprowadzono nas do bardzo pięknej sali w której pozdejmowaliśmy okrycia; poczem weszliśmy na schody; po obu ich stronach stała uszykowana służba w narodowym stroju. Przeszedłszy nie wielki przedpokój dobrze bardzo umeblowany, w którym posadzka zasłana była wschodnim kobiercem, wprowadzono nas do saloniku w którym zastaliśmy księcia. Na nieszczęście księżna była trochę cierpiącą i nie mogła nas przyjąć; książę przedstawił nam jedynego swojego syna, ładnego siedmioletniego chłopczyka, który ślicznie wyglądał w narodowym stroju. Książę ma jeszcze sześć córek: mówi bardzo dobrze po francuzku, ponieważ dwa lata mieszkał we Francyi, powiedział nam jednak że przez cały ten czas tęsknił bardzo do swoich ukochanych gór.

— My, Czarnogórcy, rzekł, podczas naszych podróży tęsknimy nadzwyczaj do kraju; co do mnie, nie ma dla mnie większej przyjemności jak gonić jelenie po naszych rodzinnych górach i skałach, i nigdzie nie jestem tak szczęśliwy jak wśród mojego ludu.

Po wybornym objedzie i nader miłej pogadance, pożegnaliśmy uprzejmego gospodarza i powróciliśmy do mieszkania; nazajutrz czas był tak szkaradny że niepodobna było myśleć o naszej wycieczce do obozu powstańców. Siedzieliśmy w domu dopókąd głód nie zmusił nas iść szukać posiłku w hotelu. W niedzielę piękna zajaśniała pogoda, a choć było dość ślizgo, postanowiliśmy puścić się w drogę. Liczny tłum przyszedł nas pożegnać i życzyć szczęśliwej drogi i wyjechaliśmy bardzo zadowolnieni z poznania Czarnogórza i dziwnych obyczai jego na wpół ucywilizowanych mieszkańców, zapytując siebie, jaka też przyszłość czeka ten kraj i jego sympatycznego księcia?

(*d. n.*)

## Korespondencya ze Lwowa.

Znane są zapewne wszystkim niespokojne żywioły jakie miotają naszem społeczeństwem, aby w mętnej wodzie jak największe łowić ryby i tuczyć się niegodnem wyzyskiwaniem. Każdy objaw dochodzenia do pewnych środków skutecznego oporu choćby w najdalszej przyszłości, jest dla nich, jak ś. p. Pol powiedział, w chlebie ością, a w gardle kością. Zaraz też następuje przeciw działanie, a nowy dowód tego mamy w założeniu tu przez garstkę separatystów osobnego pisma niemieckiego, który na szczęście wychodząc tylko dwa razy w ciągu miesiąca, pozwala łatwo zapominać o zawartych w każdym numerze bredniach, które nazwalibyśmy tylko niedorzecznemi, gdyby zbyt wyraźnie na jaw występująca dążność nie kazała użyć surowszego wyrazu. Są to brednie często bardzo niegodziwe, bo obliczone na podtrzymywanie wszelkich przeszkód, które u nas tak długo utrudniały i utrudniają wzajemne zbliżenie się różnych klas ludności.

Fakt powstania pisma niemieckiego we Lwowie z dążnościami szkodliwemi, nawet niegodziwemi, powinienby dać pochop do założenia drugiego pisma niemieckiego, które stanowiłoby antidotum dziennikarskie. Zdaje nam się, że nawet bez takiego powodu założenie pisma niemieckiego we Lwowie było już dawno daleko więcej pożądanem aniżeli powstanie wielu efemerycznych wydawnictw, które po kwartale lub jednem półroczu ginęły z braku sił żywotnych. Przypatrzmy się tylko tej sprawie ze stanowiska praktycznego, a myśl ta nie wyda się pewnie ani niestosowną ani nawet obojętną. Niemiecka a zwłaszcza wiedeńska prasa raczy nas nieustannie rozmaitemi oszczerstwami, które przenoszą się z łamów jednego dziennika do drugiego, i często w ten sposób obiegają połowę Europy. Prasa galicyjska spełnia swój obowiązek sumiennie i nie puszcza płazem żadnego oszczerstwa, żadnego kłamstwa lub błędnego przedstawienia stosunków. Ale chociażby protestowała i prostowała najwytrwalej i najenergiczniej, pożądanego skutku nie może osiągnąć. Protest będzie czytany i rozumiany w kraju ale nie tam, dokąd właśnie był skierowany. Kłamstwo puszczone na świat w języku niemieckim, francuzkim lub angielskim, ma wszędzie przystęp a sprostowanie w języku polskim nie dostanie się nawet po za granicę Galicyi. Nie każdy dziennik niemiecki ma współpracownika znającego język polski i czytającego polskie dzienniki, a jeżeli nawet w jakiej redakcyi znajdzie się taki współpracownik, co w Wiedniu jest prawie regułą, to na nieszczęście panuje tam właśnie zła wola zamykająca prawdzie drogę do szerszego koła czytelników. Dzienniki uczciwie spełniające swe zadanie chętnieby stanęły w obronie prawdy, jeżeliby ona przedstawioną im została w języku zrozumiałym, niejako w formie obliczonej na przedrukowanie. Już ta korzyść opłaciłaby wydawnictwo pisma niemieckiego a nie jest ona jedyną. Jak wiele zyskalibyśmy na tem, jeżeliby prasa niemiecka posiadała stale, trafne i zgodne z prawdą a przystępne dla siebie informacye o stosunkach Galicyi. Świat wiedziałby wcześniej i więcej o wielu rzeczach, o których dowiaduje się bardzo późno i ze zdziwieniem, że to dla niego było dotąd nieznanem. Węgrzy są bardzo praktyczni, więc choć nie cierpią niemczyzny i tępią ją u siebie systematycznie, mimo to posiadali zawsze i posiadają dobrze zorganizowaną prasę niemiecką, która zapoznaje świat ze stosunkami krajowemi. Tej prasie zawdzięczają Węgrzy nie małą część rozgłosu, jakim faktycznie poszczycić się mogą. Na Węgrów nie targnie się pierwszy lepszy pismak niemiecki tak zuchwale jak na nas, bo wie dobrze, że znajdzie zaraz energiczną odprawę, którą czytać i rozumieć będą wszędzie dokąd sięgnął fałsz lub z rozmysłem popełnione oszczerstwo. Każdy dodatni szczegół z życia politycznego i społecznego dochodzi do wiadomości świata i zbiera wszędzie pochwały. Każdy pisarz lub artysta węgierski staje się znanym i sławnym naraz w własnej ojczyznie i zagranicą. Ile to miernych utworów węgierskich doczekało się przekładu i rozgłosu, ilu średnio utalentowanych pisarzy i artystów posiada szeroki

europejski rozgłos, gdy tymczasem polskie nazwiska genijalnych pisarzy nie mają nawet tyle łaski, ażeby je bez błędu wydrukowano a o polskiem arcydziele dowiadują się uczone Niemcy dopiero kiedyś, przypadkowo i w ten sposób, że wiadomość nie sprawia nawet zadziwienia. Nie chcemy uchybiać Maurycemu Jokaiowi, bo jest to znakomity powieściopisarz w całem tego słowa znaczeniu. Jeżeli jednak Niemcy, a za ich pośrednictwem cały świat zna niemal każdą powieść Jokaia, to godziłoby się odszczególnić w ten sam sposób bodaj kilka współczesnych powieści polskich, które co najmniej mogą iść w zawody z węgierskiemi. Tymczasem przekład powieści polskiej, należy do rzadkości biblijograficznych.

Oczernianie galicyjskiego społeczeństwa ma nietylko w niemieckiej prasie drogę zupełnie utorowaną lecz nadto wkrada się powoli do prasy francuzkiej. Dwaj osławieni z kłamstw bezczelnych pisarze niemieccy, Sacher Masoch, syn byłego dyrektora policyi we Lwowie i Karol Emil Franzos, pospolity żydek z Brodów, dostąpili nie wiemy w jaki sposób tego zaszczytu, że elukubracye ich drukuje teraz w przekładzie tak znakomite pismo jak *Revue des deux mondes*. O Sacherze Masochu i jego paszkwilach powieściowych, o społeczeństwie polskiem pisałem już wtedy, gdy pierwszy utwór jego pojawił się w łamach francuzkiego pisma światowego. Sacher Masoch zasługuje więcej na pobłażliwość niż jego najświeższy kolega, gdyż w broszurze najwyraźniej oświadczył, że świat się na nim nie poznał, że jest równie genijalnym jak Szekspir, że wreszcie dzieła jego nie mają równych sobie w całej literaturze niemieckiej. Dla takiego szaleńca wypada być pobłażliwym. Ale Karol Emil Franzos, który urósł w galicyjskiej Jerozolimie w Brodach, który wiele zawdzięcza swojemu krajowi rodzinnemu; jest prostym, wyrafinowanym oszczercą, nie mającym żadnego tytułu do pobłażliwości z wyjątkiem tego, że jako mizerny pismak nie może zdobyć się na paszkwil, któryby zapewniał mu dłuższe znaczenie. Książka tego Franzosa, z której zapewne po kolei wybierać sobie będzie smaczne kąski zaślepiona redakcya *Revue des deux mondes*, wyszła niedawno pod tytułem: Szkice z Pół-Azyi, i jest stekiem fejletonów tego autora drukowanych przed dwoma laty i przed rokiem w pismach wiedeńskich. Galicya jest dla pana Franzosa Pół-Azyą a społeczeństwo galicyjskie nosi na każdym kroku piętno głupoty i zupełnego zacofania. Nazwę tę nadał Franzos Galicyi najpierw w artykule w którym opisywał swoją wycieczkę do Czerniowiec na uroczystość otwarcia nowego uniwersytetu niemieckiego. Dopiero na granicy galicyjsko-bukowińskiej wstąpiła otucha w paszkwilanta, dopiero za Galicyą zaczęła mu się przypominać cywilizacya europejska a w Czerniowcach odetchnął po przykrych wrażeniach doznanych w nędznym Krakowie i jeszcze nędzniejszym Lwowie. Trzeba widzieć Czerniowce na własne oczy, ażeby mieć wyobrażenie jak zuchwale kłamie Franzos dla publiczności czytającej, która nie znając bliżej stosunków nie umie a w skutek pewnych uprzedzeń nawet nie chce łapać go na kłamstwie.

Umieszczenie artykułu Franzosa w *Revue des deux mondes* wywołało tu takie oburzenie, że pismo to straci nawet tych prenumeratorów z Galicyi, którzy kupowali i czytali je bez przerwy kilkanaście lat. Nawet z biblijotek publicznych zniknąć może *Revue des deux mondes* i nie będzie to wielka strata, bo pismo umieszczające nędzne ramoty Sacherów-Masochów i Franzosów dowodzi tem, że nie umie uszanować swojej powagi europejskiej i prędzej lub później zejdzie do rzędu tuzinkowych publikacyi.

Ale na tem nie powinna skończyć się cała historya, bo zaniechanie prenumeraty uwalnia tylko od czytania ramot ale nie daje satysfakcyi obrażonemu społeczeństwu. Słyszeliśmy że materyałów potrzebnych do wykazania przed publicznością francuską nędzy pisarskiej takich Masochów i Franzosów dostarczono już ze Lwowa. Już to ogólnie żywioł nasz słowiański na zbytek przyjaciół narzekać nie może.

Skorośmy już powyżej dotknęli kwestyi nowych pism wypada bodaj z tytułu wskazać wydawnictwa, które powstały we Lwowie w kilku ostatnich miesiącach. Otóż najpierw księgarnia Wł. Bełzy zaczęła wydawać pisemko dla dzieci p. t. *Towarzysz pilnych dzieci*. Jest to już podobno trzecia czy czwarta próba założenia takiego pisma we Lwowie. Poprzednie próby kończyły się zawsze na upadku pisma po krótkiej egzystencyi, chociaż nie brakło mu ani pochwał ani uczciwej reklamy w całej prasie. Jest to już jak widać taka właściwość Galicyi, że o młode pokolenie nie troszczy się wiele, bo nawet warszawskie wydawnictwa nie mają tu takiego pokupu na jaki zasłużyły. Jeżeli pismo dla dzieci nie może się utrzymać mimo nizkiej ceny, to nie potrzeba nawet dodawać, że książki dla dzieci są prawie nieznane naszym wydawcom. Literacka produkcya Warszawy na tem polu jest prawdziwie zdumiewającą w porównaniu z bezczynnością Lwowa i Krakowa.

Niedawno wychodzić zaczęły dwa pisma polityczne: dwutygodnik *Fiast* z charakterem wybitnie polemicznym i z dążnościami katolickiemi a dalej *Gazeta Świąteczna* wychodząca w poniedziałki i dnie poświąteczne. Jest to naśladownictwo podobnych pism zagranicą wychodzących, gdzie one mają wielkie powodzenie, bo ludność wielkich miast, np. milijonowego Wiednia nie może się obejść bez jakiego dziennika w dniach, w których codzienna prasa musi mimowoli zrobić sobie konieczną pauzę. Nasz Lwów wprawdzie bardzo się zajmuje polityką, ale nie ma w nim tylu ciekawych, żeby utrzymać zdołali osobne pismo świąteczne. Na prowincyę zaś *Gazeta Świąteczna* nie może liczyć.

Choć liczba dzienników politycznych zwiększa się u nas nieustannie, mimo to nie przybywają nam wcale nowi publicyści zasługujący na tę nazwę w wyższem znaczeniu. Mamy mnóstwo reporterów i tłomaczów redakcyjnych, a bardzo mało poważnych dziennikarzy, myślących samodzielnie i traktujących swoje stanowisko jako zawód dobru publicznemu oddany. Tylko w starszem pokoleniu znaleść dziś można dziennikarzy w ten sposób zawód swój pojmujących i właśnie teraz śmierć zabrała nam jednego z tych zacnych weteranów. Dnia 13 listopada umarł w Krakowie Maurycy Mann, mąż wielkich zalet charakteru, oraz niepospolitej gotowości do usług dla dobra publicznego, wreszcie rzadkiej bystrości i biegłości w swoim zawodzie. Nic nie świadczy tak zaszczytnie o karyerze dziennikarskiej ś. p. Manna jak ten fakt, że nasza prasa przekraczająca wszelkie granice we wzajemnej osobistej zawiści redaktorów, jednomyślnie i rzewnie oddała hołd zmarłemu pracownikowi. A trzeba wiedzieć, że ś. p. Mann bronił w całem życiu swojem i z głębi przekonania właśnie takich zasad, które należą dziś do znienawidzonych, do dyskredytujących każdego zwolennika swojego nie tylko zagranicą lecz już coraz więcej i w kraju. Ś. p. Maurycy Mann pracował także w dziale ściśle literackim i znany jest mianowicie szerszemu kołu czytelników jako autor znakomitego 3 tomowego dzieła: Podróż na Wschód. Akademija nauk w Krakowie straciła w zmarłym jednego z członków swoich. Jestto w krótkim przeciągu czasu druga z rzędu strata, jaką ponosi ta instytucya naukowa. Ś. p. Mann umarł bowiem w miesiąc po ś. p. Auguście Bielowskim.

Warszawianin Henryk Siemiradzki zbiera w tej chwili tryumfy w Wiedniu a za jego pośrednictwem w całej Europie. Świat cały przyznał już polskim artystom pierwszorzędne w tej chwili stanowisko, a Henryk Siemiradzki znakomicie przyczynił się do utrwalenia tej reputacyi swojem w Wiedniu teraz wystawionem arcydziełem: Żywe pochodnie Nerona. Na miesiąc przed nadejściem tego obrazu do Wiednia, jeden z dzienników tamtejszych umieścił fejleton, nazywający ten obraz największem współczesnem arcydziełem sztuki malarskiej a jego twórcę najgenialniejszym artystą w Europie. Po takiej pochwale krytyka i publiczność były bardzo rozciekawione i jesteśmy przekonani, że ów fejleton podniósł niesłychanie skalę wymagań, z jakiemi szli do sali wystawy recenzenci wiedeńscy. Taki z góry wystawiony patent genijalności szkodzi czasem artyście zwłaszcza obcemu, bo najmniejsza usterka rośnie potem do rozmiarów wielkiego błędu artystycznego a zalety nikną, jeżeli odrazu nie olśnią wymagających widzów. Mimo to wszystko fejletonista zapowiadający w tak pochwalnych wyrazach pojawienie się nowego arcydzieła, nie zaszkodził naszemu artyście a sobie pomógł bardzo, bo zyskał zaufanie publiczności wiedeńskiej. Wszystkie dotychczasowe recenzye obrazu są jednym szeregiem hołdów tak bezwarunkowych, że pod tym względem Siemiradzki tylko z Matejką może iść w zawody. Krytycy niemieccy przyznają, że Siemiradzki miał niewdzięczne zadanie, bo postać Nerona służyła już wielu znakomitym artystom za temat a wszyscy dotąd zawiedli oczekiwania. Dopiero polski mistrz ziścił najwyższe wymagania znawców. To przyznanie znaczy więcej, aniżeli tuzin najpochwalniejszych wyrazów. Pamiętajmy bowiem o tem, że piszą to Niemcy a jeden z koryfeuszów niemieckiej sztuki Kaulbach, wybrał sobie także postać Nerona za temat artystyczny.

*B. Ł.*

## Przegląd literacki.

(Dokończenie).

W zeszycie wrześniowym K. W. Wójcicki, posiadający niewyczerpaną skarbnicę wspomnień, rozpoczął nową seryę pogadanek o społeczności Warszawy pomiędzy 1800 i 1830. Istotnie, dziwić się wypada, jak wiele pamięta i z jakiem ciepłem serdecznem umie opowiadać swoje wspomnienia zacny weteran — jeden z niewielu żyjących jeszcze świadków niezbyt odległej a tak już dalekiej przeszłości. Ojciec Wójcickiego był lekarzem dworu Stanisława Augusta; z opowiadań więc ojcowskich wspomnienia sędziwego autora sięgają jeszcze wieku ubiegłego, a już co się tyczy znajomości dziejów i ducha społeczności Warszawy z całego tego długiego okresu — nikt chyba z Wójcickim mierzyć się nie może, a już z pewnością nikt z obecnego pokolenia, dla którego, mniej więcej, *wczora* jest już obojętnem, a *onegdaj* — jeszcze obojętniejszem i nieznanem. Ile to rozmaitych szczegółów historycznych, wspomnień obyczajowych i nawet brukowych, ale charakterystycznych, umie opowiadać Wójcicki o każdej ulicy Warszawy, o każdym niemal jej domu, że już nie mówimy o szczegółach tyczących się literatury, teatru, ciał naukowych i wojska. Oto np. w niniejszym artykule Wójcicki odtwarza przed czytelnikiem dawne mieszczaństwo i stan rzemieślniczy warszawski — skrzętne i pracowite, pobożne, wstrzemięźliwe, pełne uczuć obywatelskich. Może i nie były te warstwy ludności idealnie doskonałemi, ale mniej było śmiesznego pano-

szenia się, nieużytości i zmateryalizowania. Po rzemieślnikach i przekupkach, maluje autor ówczesny przemysł warszawski uliczny, cokolwiek różny od dzisiejszego i owych Andrychowiaków z orzechami, krupników, handlarzy kołder i innych, o których nawet nie wiedzieliśmy dotychczas. Zaginione typy latarników i rybaków, po części dawnych wiarusów napoleońskich, autor wskrzesił we wspomnieniach swych tak żywo i plastycznie, że od dawna nie czytaliśmy nic tak zajmującego jak opowiadanie o latarniku Krzysztofie, które jest przedmiotem do powieści lub dramatu, albo o pięciu traczach, ozdobionych krzyżami legji honorowej i Virtuti militari. Niemniej zajmujące są wspomnienia o kuśnierzu Aloizym Lasockim, który, w braku jeszcze podówczas straży ogniowej, sam jeden prawie dowodził przy gaszeniu wszystkich pożarów, albo o ostatnim lirniku warszawskim Dziubińskim, który jeszcze pomiędzy 1809 i 1812 rokiem śpiewał w ogrodzie Krasińskim dumy historyczne, albo o Magdalenie sprzedającej kiełbasy i jej zasługach, albo o ostatnich palestrantach. W ogólności ciekawy ten i nadzwyczaj ponętny artykuł jest prawdziwą ozdobą wrześniowego zeszytu Biblioteki.

O opowiadaniu historycznem zmarłego niedawno W. Chomętowskiego które jeszcze ciągnie się i przez wszystkie niniejsze zeszyty, wspominaliśmy już dawniej. Teraz przekonaliśmy się ostatecznie, że pomimo tak ciekawego i dramatycznego tła dziejowego, jak ostatnie lata Jana III i dzieje podwójnej elekcyi po śmierci tego króla, pomimo pokaźnego grona charakterystycznych postaci, które autor wprowadza, wreszcie pomimo ogromu jego wiadomości, tyczących się dziejów, intryg i obyczajów epoki, „Synowie Hetmańscy“ są dość nudnym utworem. Autor nie miał prawie żadnego talentu, potrzebnego historycznemu powieściopisarzowi: ztąd dzieło jego, cenne jako obraz dziejowo-obyczajowy i jako widoczny dowód moralnych i sumiennych studyów, nie posiada prawie zgoła wartości artystycznej i nie może zaciekawić nikogo, a więc, ze szkodą dla cennej swej treści, nie może stać się poczytnem i popularnem. Cóżby to np. z tak bogatego materyału potrafił zrobić Kraszewski!

Praca p. Stawiskiego z ekonomji społecznej, a potrosze i z dziejów innych nauk w latach ostatnich, p. n. ,,O zjazdach czyli kongresach naukowych“, choć niewątpliwie poważna, odstręcza nieco pewną oschłością w traktowaniu.

W kronice Paryzkiej za lipiec mieści się obszerne sprawozdanie o obrazach na wystawie paryzkiej; w sierpniowej zaś wiele innych bardzo zajmujących szczegółów.

Do takich zaliczamy np. wiadomość o dziele Remusata „Abelard“ dzielny ustęp o p. Georges Sand i wzmiankę o pracy p. d'Avril poświęconej apostołom Słowiańszczyzny Cyrylemu i Metodemu, w której uczony francuzki, wbrew utartym mniemaniom, dowodzi że w kościele chrześcijańskim w owych czasach istniały tylko dwa obrządki: grecki i łaciński, że więc tak zwany obrządek słowiański nie istniał wcale, a przynajmniej ta nazwa jest niewłaściwą, bo używanie w liturgji języka słowiańskiego nie stanowi jeszcze słowiańskiego obrządku, i że błędem jest przypuszczenie, jakoby część Słowian porzuciła obrządek słowiański i przeszła na łaciński. Najbardziej urozmaiconą i zajmującą jest kronika zeszytu wrześniowego: znajdujemy tu bardzo ciekawe sprawozdanie z podróży Alberta Vandal po Norwegji wyborną charakterystykę nowszych powieścio-pisarzy francuzkich i zajmujący rozbiór nowszych utworów poetycznych Beauregard'a i Oliwiera.

Przegląd pedagogiczny p. Chmielowskiego (w zeszycie sierpniowym) niebardzo cenny stanowi nabytek dla Biblijoteki. Autor tego przeglądu dokuczył już niemało wszelkim autorom w Gazecie polskiej, gdzie sam jeden dzierży berło uniwersalnej krytyki, z jednakową zarozumiałością i zapalczywie wyrokując o płodach we wszystkich gałęziach wiedzy ludzkiej. I niniejszy przegląd nosi te same cechy bladej bezbarwności i braku kompetencyi, zręcznie zastąpionej powodzią ogólników. Co najzabawniejsza, że krytyk ciągle zarzuca wszystkim błędy języka i stylu, a sam je bardzo często popełnia, używając nie polskich wyrazów i dopuszczając się pomyłek gramatycznych. Tak np. w tym samym przeglądzie pedagogicznym, o którym mowa, na str. 244 czytamy obcą formę *instynktownie* (po polsku mówi się *instynktowo*), na str. 245 mamy nieznany wyraz *bezpodstawowy*, a na str. 252 czytamy: „obok rozprawy pana Plebańskiego trudno mi postawić *innej*“ i t. d.

Z działu recenzyi zasługują na uwagę szczegółowa, sumienna i uczona, jaką być powinna, krytyka Historyi Starożytnej Korzona przez J—da (zeszyt sierpniowy) i umieszczony w tymże zeszycie artykuł. „W sprawie mowoznawstwa krajowego“. O kronikach Naukowych (p. n. Z dziedziny przyrodoznawstwa) wspominaliśmy już dawniej, że obracają się one w zaklętem kółku znanych już od dawna wiadomości z chemji, zoologji, astronomji i t. d. Dość przejrzeć podobne sprawozdania we wszystkich czasopismach od lat może pięciu, ażeby przekonać się że we wszystkich, odmiennemi cokolwiek słowy i w rozmaity sposób, mowa o tych samych niewielu zdobyczach ostatnich czasów z dziedziny nauk ścisłych jak o przemianie gatunków, o samorodztwie, monerach, mgławicach i t. d. Postępy nauk nie są tak prędkie i luźne, ażeby dostarczały coraz to świeższego materyału do częstych sprawozdań peryodycznych; oprócz tego, o ile nam wiadomo, dwóch podobno tylko literatów dostarcza tych sprawozdań do wszystkich pism: te więc są dwie przyczyny tożsamości i powtarzania się sprawozdań. Jaki na to środek? Oto zdaje się, trzeba byłoby przypomnieć że oprócz nauk przyrodniczych istnieją jeszcze inne (historya, archeologija, pedagogika, filozofija, lingwistyka i t. d.), o których postępach na zachodzie nic nie wiemy, a które jednak zasługiwałyby także na osobne „Kroniki“ i „Sprawozdania“. Nie jest to bowiem jeszcze znacznem ,,odświeżeniem sił“ i wprowadzeniem „interesów bieżącej chwili“ jeśli do dawnych rubryk dodaje się od czasu do czasu wiadomość o monerach lub koralach.

*L. Sz. W.*



**Ach! co za prześliczne abecadło!** wydane nakładem Ferdynanda Hösicka, jest rzeczywiście podarkiem dla dzieci małych nietylko prześlicznym ale i stokroć pożyteczniejszym niż wszelkie cacka i inne podobne zabawki. Illustracyi dokonał p. Wł. Szymanowski a odbił chromolitograficznie M. Fajans. Całe wydanie niezmiernie ozdobne kosztuje rs. 1.

Nakładem tejże samej firmy, wyszły jeszcze następujące dziełka:

**Z domu i ze szkoły**, mały i wielki świat dziecięcy tom II, zajmująca książeczka dla dzieci opracował z niemieckiego i zastosował dla dzieci naszych Józef Grajnert. Mieści w sobie 37 oddzielnych artykulików z illustracyami, mówiących o wszystkiem jak to zwykle bywa w gronie dzieci zostających pod przewodnictwem światłego nauczyciela. Cena kop. 90.

**Z rodzinnej zagrody** — życiorysy, napisał K. Wł. Wójcicki z rycinami. Obejmuje 45 postaci znakomitości miejscowych ze stosownemi drzeworytami. Książka to bardzo pożyteczna, napisana przez zacnego Autora z serdecznem poczuciem jej wartości. Cena egz. kop. 90.

**Ziemia i jej mieszkańcy.** Opisy malownicze krajów, ludów i obyczajów — z najcelniejszych autorów ojczystych i cudzoziemskich, oraz własnych prac, zebrał St. Strojnowski. Cena egz. z wieloma illustracyami kop. 90.


**Przyjaciela Dzieci Nr 49 wyszedł z druku i zawiera:**

Góra zamkowa w Wilnie (z drzeworytem). — Pogadanki historyczne. — Różyczka. — Czyny nauczające.—Z wiadomości bieżących. w Dodatku: Wspomnienia z moich lat młodzieńczych. — Trzy panienki (wiersz).—Jak Johan został wielmożnym panem. —Wyjazd na majówkę.— Grzyby morskie.

**Prenumerata wynosi kwartalnie:**

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

*Adres: Do* **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Elektoralna Nr. 779 (nowy 41).*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

# Opis do N. 49.

**N. 1. Wieczorowe** ubranie z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój jak do ryc. 2 w N. 47.

Suknia z materyi jedwabnej albo z jedwabnej i wełnianej, ma stanik pod szyję z podłużnym wykrojem i wyłożonym kołnierzem, podgarnirowany stojącą koronką, zakończoną takąż barbką ułożoną w kokardy i przepiętą gałązką róż. Czepeczek z takiejże koronki i barbki ubrany wstążką i kwiatami.

**N. 2 i ryc. 26 w N. 50 Tygodnika. Ubranie** balowe ze stanikiem wyciętym, kirasowym. Krój stanika podług ryc. 1 w N. 45 Tygodnika.

Plisowane falbany i riusze białej tarlatanowej sukni zakończone są obrąbkiem 1 cent. szerokim potrójnie założonym, któren ładnie się odznacza przy klarownym materyale. Ażeby zachować całą świeżość tarlatanu, obrąbki nie są zaszyte, tylko równo założone i zaprasowane. Plisowane, 9 cent. szerokie falbany mają tylko u dołu obrąb, a w odstępie 1-go cent. zakładkę tej samej szerokości; przy riuszach 4 i 5 cent. szerokich oba brzegi zakończa obrąbek. Wązką tunikę u dołu wyciętą w zęby 28 cent. szerokie a 23 głębokie, dopełnia z tyłu garnirunek naszyty plisowaniem i riuszami, mający 60 cent. długości 35 szerokości, u dołu zakończony kokardami i końcami, które układają się z prostego, 66 cent. szerokiego kawałka tarlatanu, zaprasowanego w podłużne fałdy i zwężonego w ten sposób do 22 centymetrów. Przybranie sukni z tyłu podamy na ryc. 26 w przyszłym numerze, naszycie zaś garnirunku z przodu na tunice wskazujemy na ryc. 2. Pod stanik zapinany z tyłu na guziki daje się białą jedwabną podszewkę, albo odrabia go się z materyi i zdobi bertą i garnirunkiem z tarlatanu. Kokarda z blado-różowej lub niebieskiej wstążki, z przodu przy ramieniu, przepięta gałązką takich kwiatów jak na głowie.

**N. 3. Ubranie** wieczorowe formą princesse. Krój jak do ryc. 40 w N. 28 Tygodnika.

Suknia formą princesse, z lekkiej jedwabnej materyi jasnego koloru, właściwa jest tylko dla młodych osób, mających zręczną i ładną figurę. Spódnica u dołu oszyta plisowaniem 13 cent., i plisami $4^1/_2$ cent. szerokiemi pokrytemi koronką. Zarówno długo z przodu jak i z tyłu sięgające bretelki, ułożone są z plisy i koronki. Zapięcie sukni z boku, od przodu, przykrywa bretelka. Kieszonka odznaczona koronką i kokardami.

**N. 4—6. Kołderka** do wózka albo do kolebki. Robota szydełkowa z włóczki białej i ponsowej kastorowej (gramów 260).



N. 1. Ubranie wizytowe. Krój patrz ryc. 2 w N-rze 47. N. 2. Ubranie balowe. Patrz ryc. 26 w N-rze 50. N. 3. Ubranie wieczorowe formą princesse.

Kołderka dziecinna mająca 102 cent. długości a 62 szerokości, zaczyna się od podłużnego brzega na o. 156 włóczką ponsową którą obrabia się 5 razy znanym ściegiem gwiaździstym, po-czem następują 3 rzędy robione o. ści., zabieranemi zawsze na wskroś przez całe oczka poprzedzającego rzędu, z tych trzech obrobień brzeżne są ponsowe a środkowe białe. Teraz następuje rząd muszek białych na które zakłada się nitkę na szydełko i przewłóczy pentelkę na wskroś pod o. 3 razy a następnie przerabia razem. Muszki u dołu przedzielane są 2-ma oczkami, a w górze przerabiane 1 o. pow. po muszkach następują 4-ry ponsowe rzędy o. ści., z których pierwszy zaczepia się za nitkę od spodu, a 3 następne nawskroś między o. Dalej znów 1 rząd muszek białych, 3 rzędy ścisłe z których środkowy biały, 6 rzędów gwiaździstych. Powtórzyć 3 razy i zakończyć 5 rzędami gwiazdek. Nakoniec obrabia się brzegi podłużne raz o. ści. i raz ząbkami wskazanemi na ryc. 6, brzegi zaś poprzeczne raz ścisłe białą, drugi ponsową, potem ząbki.

Ryc. 6 przedstawia inną próbkę na kołdrę, robioną poprzecznie z włóczki białej i niebieskiej, z pasów oddzielnych na 18 o. zaczętych. Na pasach niebieskich wyszycie i obrobienie deseniowe jest białe, na białych niebieskie. Deseń opisywaliśmy już w Tygodniku, i próbka nader wyraźnie go ws azuje.

**N. 7—8. Kamizelka** dla małej panienki. Robota pończosznicza i szydełkowa.

Ryc. 7 i 8 podaje z przodu i z tyłu kamizelkę z włóczki nakrapianej popielatej ze szlaczkiem brązowym. Kaftanik robiony jest na maszynie pończoszniczej, tylko szlaczek szydełkiem.

**N. 9. Kaftaniczek** dziecinny. Robota na drutach i szydełkowa.

Z tyłu otwierany kaftaniczek zaczyna się od brzega w podłuż na o. 73 i robi tam i na powrót bez gubienia lub przybierania, w paski naprzemian gładko i kręto wyglądające. W 90-tem obrobieniu 32 początkowe oczy zakończa się na pachę, pozostałe 41 6 razy obrobić, a potem na nowo 41 ocz. zacząć i robić przodek przez wszystkie 82 o. razy 42. Na wykrój szyi w 4-rech dalszych rzędach gubi się 1 o. na początku druta w 8-miu 1 o. co drugie, w 9 1 co trzecie obrobienie. Pozostałe 63 o. obrabia się równo 57 razy, poczem przybiera się oczy w ten sposób jak się gubiło. Dalej 42 razy równo a potem pachę i plecy tak jak i przy pierwszej połowie. Rękaw zaczyna się w podłuż na o. 8, obrabia raz, a następnie w każdem do lewej ręki leżącem obrobieniu przydaje się na końcu 5 nowych oczek. Tym sposobem rękawek przydłuża się i przybiera formę potrzebną. Po 16 obrobieniach mamy na drucie o. 48; teraz zaczynamy przybieranie na górne zaokrąglenie rękawa, na które co 7 obrobienie (w rzędzie idącym od ręki lewej do prawej) dodaje się 1 o., czyli w 28 rzędach o. 4-ry. Następnie obrobić równo razy 35, zgubić co 7 obrobień 4 w górze przybrane oczy i zacząć boczne gubienie rękawka w taki sposób jak się przybierało. Nakoniec ramiączko i rękawek spoić i wszyć w pachę z lewej strony niewidocznemi ściegami. Kaftaniczek taki kłaść można pod sukienkę; próbkę sciegu i szlaczku szydełkowego podamy na ryc. 16 w N. 50 Tygodnika.

**N. 10—11. Zwierzchni** kaftaniczek dla małych dzieci. Robota na drutach i szydełkowa.

Materyał: Włóczki angielskiej kolorowej gram. 100, białej 5, czarnej 1. Druty cienkie drewniane.

Kaftaniczek mający 80 cent. dolnego obwodu, 26 cent. przedniej a 28 długości z tyłu; zaczyna się od dołu na o. 136 i robi tam i na powrót ściegiem powszechnie znanym w karpią łuszczkę, na któren w rzędzie 1-szym ciągle 1 o. przy. 1 zdjąć, 1 gł. Po odwróceniu roboty w rzędzie 2-gim ciągle 2 o. jedno przy drugim gładko a nitki przybrane zdejmować na drut nie robiąc; w rzędzie 3-cim 1 o. przy. 1 zd. 1 razem z przełożonem gładko. Te dwa ostatnie rzędy powtarza się ciągle. Powtórzywszy 28 razy obadwa rzędy, rozdziela się oczy na przody, z których każden dostaje o. 32, i na plecy liczące o. 72; teraz każdą część robi się oddzielnie, ażeby pachy zaokrąglić w 7 podwójnych rzędach gubi się dwa ostatnie o. przy pasze razem. Dalsze 10 rzędów równo, poczem łączą się na drut wszystkie części a dla nadania ramionom pośluzistości w 7 następnych podwójnych rzędach, ostatnie o. od przodu i 1-sze od pachy gubi się razem. W ostatnim podwójnym rzędzie gubi się w równych odstępach przy przodach po 4 o. a przy pleckach o. 8, obrabia się raz gł. 2 razy krę. i zagubia wykrój pod szyją.

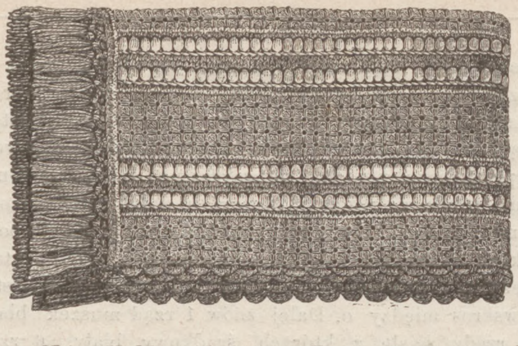
Kapturek układa się z czworokątnego kawałka mającego 34 cent. długości a 8 szerokości, któren zaczyna się na o. 62, obrabia raz gł., 18 podwójnych rzędów jak w kaftaniczku i 1 gł., poczem kawałek składa się we dwoje i oczy brzeżne zrabia razem. Szlaczek w gwiazdki składa się z 3 rzędów z których 2 brzeżne są białe a środkowy niebieski, co 4-ta gwiazdka czarną z brylantowanej włóczki przedzielany. Ząbki pikotowe z brzegu są niebieskie. Sznur szydełkowy i kwasty białe. Rękawy na 36 o. zaczęte przy ręce robią się w poprzek równo, tylko w 5 górnych podwójnych rzędach gubi się stopniowo z brzegów dla nadania zaokrąglenia.

**N. 12. Szlaczek** do ryc. 21 w N. 50.

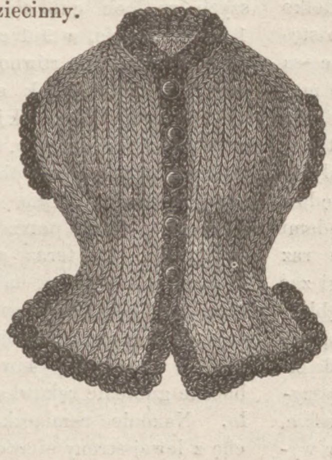
**N. 13. Szlaczek** do ryc. 20 w N. 50.

**N. 14.** Próbka do ryc. 22 w N. 50.

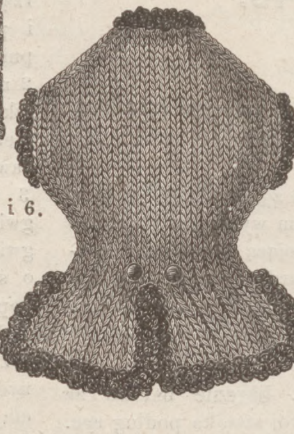
**N. 15 i N. 24 w N. 48 Tygodnika. Fartuszek** bluzkowy dziecinny.



N. 4. Kołdra robotą szydełkową. Patrz ryc. 5 i 6.



N. 7. Kamizelka dla małej dziewczynki. Robota na drutach i szydełkowa. Patrz ryc. 8.

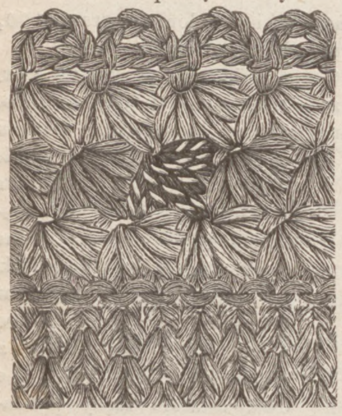


N. 8. Kamizelka dla małej dziewczynki. Plecy do ryc. 7.

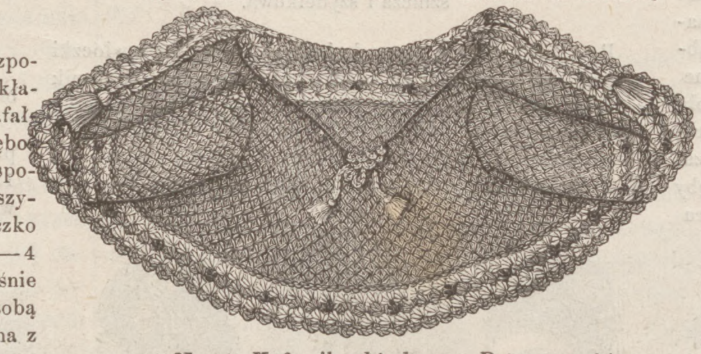


N. 9. Kafaniczek dla dziecka. Robota na drutach.

Na kaftaniki, negliże i dziecinne ubrania, bardzo używana jest biała tkanina w pasy matowe z deseniem adamaszkowym i ażurowe naśladujące kratkę, na których (w sposób na ryc. 24 wskazany) daje się łatwe kolorowe wyszycie. Na modelu listki obwiedzione były ściegiem sznureczkowym, bawełną niebieską, a brzegi pasów z kratkami podwójną, ponsową bawełną do prania. Na fartuszek potrzeba dwóch 80 cent. szerokich a 54 długich, brytów prostych, które zeszywa się z boków, zostawiając 14 cent. na pachę. Z tyłu przecina się rozporek; w górze zakłada się w kontrafałdy 4 cent. głęboki e a wzdłuż od spodu 27 cent. zeszyte; na ramiączko pozostawia się 3—4 cent. trochę skośnie zeszytych ze sobą a resztę podcina z przodu i z tyłu 6—7 cent. na wykrój kwadratowy, objęty wyszytą listewką. Koroneczka szydełkowa zdobi dół fartuszka, wykrój, rękawki i szarfy. Szarfy mają 7 cent. szer. a 166 długości, pas wyszyty stanowi środek.



N. 11. Obrobienie szydełkowe brzegiem kaftanika ryc. 10.



N. 10. Kaftanik włóczkowy. Patrz ryc. 11.



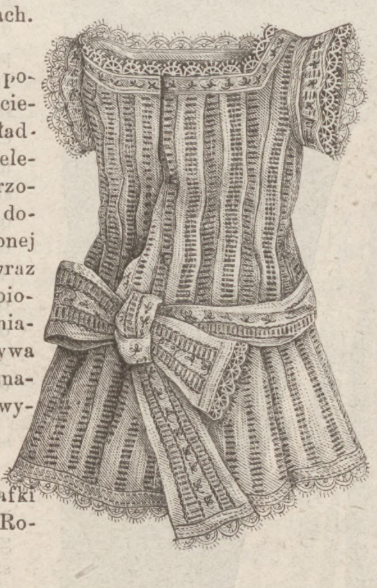
N. 12 i 13. Ząbki szydełkowe.

**N. 16. Dziecinny** płaszczyk z peleryną. Robota szydełkowa i w ramach.

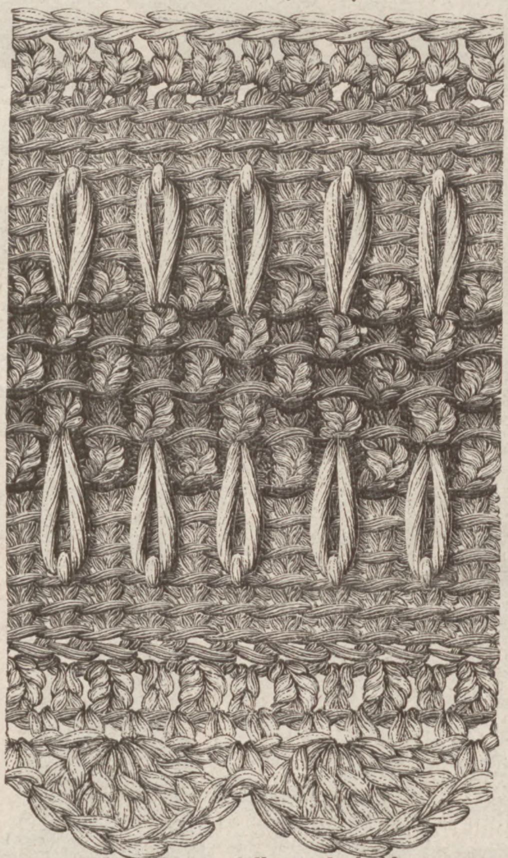
Płaszczyk robi się podług formy i miary ściegiem tunetańskim gładkim lub w pasy a pelerynka z oddzielnych przodów i pleców podług dobrej, z papieru wykrojonej formy. Szlak zaś wraz z szeroką frendzlą robiony jest w ramie drewnianej. Pelerynę zeszywa się z lewej strony niezacznie i przyszywa do wykroju płaszczyka.

**N. 17. Brzeg** do patarafki ryc. 13 w N. 50. Robota wiązana.

**N. 18—19. Serweta** płócienna wyszyta krzyżykami. Deseń naturalnej wielkości N. 19.

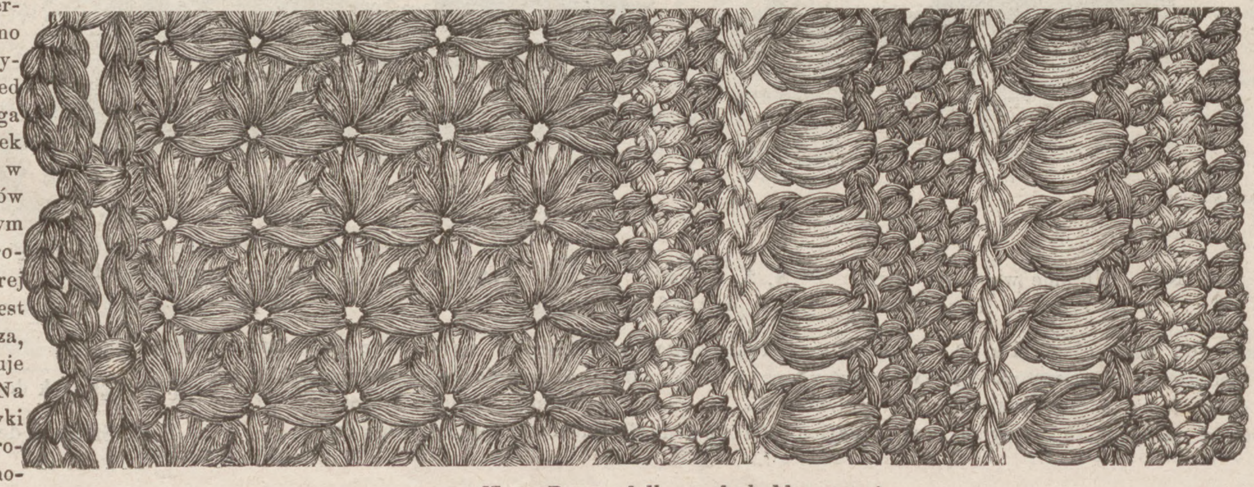


N. 15. Fartuszek formą bluzy dla dzieci.



N. 6. Pas szydełkowy do kołdry ryc. 4.

Ryc. 18 przedstawia szafkę bufetową (do pokoju jadalnego), przykrytą serwetą wyszywaną różno kolorową bawełną, krzyżykami. W płótnie przed zaczęciem roboty wyciąga się w podłuż i w poprzek każdą czwartą nitkę, w całej szerokości brzegów które szlak zajmie, tym sposobem tworzy się rodzaj kanwy, na której robota idzie łatwiej, jest równiejsza i wyraźniejsza, a każden krzyżyk zajmuje 3 nitki w kwadrat. Na płótnie białem krzyżyki ciemniej odznaczone robi się bawełną jasnoszafirową a jasne pąsową, na tle brązowem lub popielatem krzyżyki jasne przeważające w deseniu są niebieskie a ciemne pąsowe lub koloru złotego. Do oszycia służy koronka biała z pąsowem, szydełkowa lub warsztacikowa.



N. 5. Pas szydełkowy do kołdry ryc. 4.

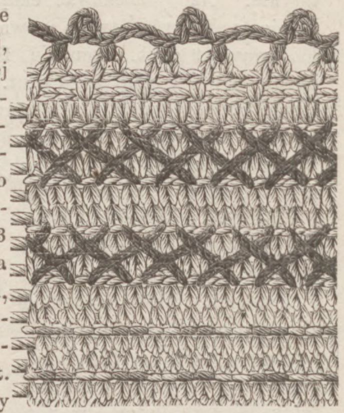
**N. 20. Frendzla** wiązana do ryc. 6 w N.

**N. 21—22. Cygarniczka** haftowana, stojąca. 50

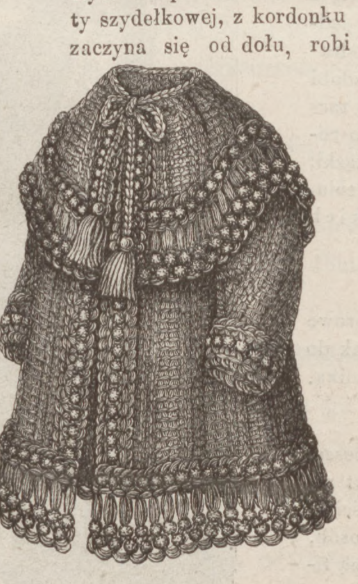
Cygarniczka którą można postawić po otworzeniu, stanowi poszukiwaną *nowość*. Model odrobiony ze skóry jasno-brązowej na której monogram haftowany był złotemi jedwabiem, miał 14 cent. wysokości a 7 1/2 szerokości.

**N. 23—25. Cygarniczka** ozdobiona robotą szydełkową.

Cygarniczka składa się z dwóch jedna w drugą wsuwanych części które robi się z cienkiej, mocnej i sztywnej tektury, wyklejonej wewnątrz materyą a zewnątrz skórką orzechową lub brązową. Część wewnętrzna mająca 13 cent. wysokości a 15 cent. obwodu, oklejona jest i zwierzchu dodany wkoło pasek 4 cent. szeroki pokryty skórą i robotą szydełkową. Część zwierzchnia cała pokryta skórą i robotą, ma 11 cent. wysokości a 16 obwodu. Denek nie daje się oddzielnych. Ryc. 24 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę roboty szydełkowej, z kordonku brązowego i nitki złotej którą zaczyna się od dołu, robi w koło najpierw z kordonku, a następnie na wierzchu z nitki złotej. Sposób roboty łatwy i wyraźnie wskazany, nie potrzebuje opisu.



N. 14. Robota szydełkowa z podłożeniem sznureczka do ryc. 22 w N-rze 50.



N. 16. Płaszczyk z pelerynką. Robota szydełkowa i w ramach.

Na ryc. 25 podajemy inną próbkę roboty, w które 1 rząd sł. przedzielanych o. powietrznemi, daje się na przemian z 3-ma rzędami ścisłemi. W pierwszym i 3-cim rzędzie podkłada się wąziutką złotą plecioneczkę, przyrabianą przez wierzch co drugie oko ścisłe w rzędzie drugim odwraca się robotę i robi z lewej strony. Ilość rzędów i oczek powinna być tak obliczoną ażeby robota szydełkowa, powleczona na cygarniczkę i przyczepiona nieznacznemi ściegami, przystawała gładko i równo.

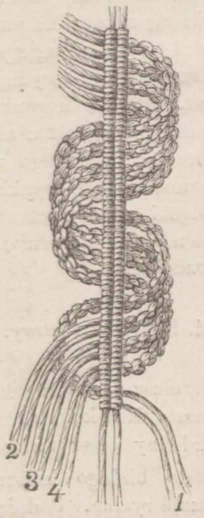
**N. 26. Koszałka** ogrodowa albo targowa. Przyozdobiona wyszyciem.

Z sitowia pleciona koszałka, z wierzchu ozdobiona jest kwadratami i pasami wyszytemi ściegiem krzyżowym na kolorowym płótnie, albo sutaszem na ceracie. Desenie odpowiednie znajdują się w Tygodniku. Wewnątrz koszałki dodaje się podszewkę z mocnego niewarowego płótna wystającą w górze w sposób

na ryc. 26 wskazany i zapinaną na guziki. Podszewkę przyszywa się mocno do dna i brzegów koszałki. Przy uszach dodane kokardy ze wstążki 3 cent. szerokiej.

### N. 27. **Woreczek** do robót.

Woreczek z różowego jedwabnego repsu, 18 cent. wysoki a 26 cent. obwodu mający, w górze wycięty jest w 6 równych zębów, zakończonych złotym sznureczkiem, rzadko przedzierganym różowym jedwabiem i naszytych złotemi perełkami. Pod materyą daje się podszewkę. W każdym zębie są dwie obrobione dziurki służące do przewleczenia jedwabnych sznurów do ściągania. U dołu woreczek ozdobiony jest pasem srebrnej kanwy, szerokiej 8 a długiej 26 cent., wyciętej u dołu w 6 zębów 4 cent. szerokich i tyleż głębokich. U dołu zęby złączone są kwastem sutym jedwabnym; wyszycie z różowego jedwabnego sznurka przyczepiane jest do kanwy złotemi perełkami. Gdzie się kończy kanwa w górze, pomiędzy materyę i podszewkę, wszywa się cienki drucik, dla nadania woreczkowi trochę sztywności.



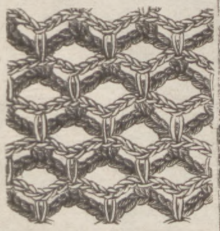
N. 17. Torsadka do patarafki którą podamy w przyszłym N-rze.

### N. 28. **Szydełkowe** powleczenie na kłębek

Obie połówki powleczenia robi się oddzielnie z jedwabiu dwóch kolorach, zaczynając od środka a kończąc słupkami krzyżowanemi, które następnie (po włożeniu kłębka) zakładają się jedne na drugie, razem przewłóczą wstążeczką i tym sposobem spajają i zamykają powleczenie.

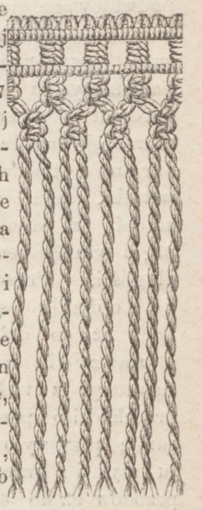
### N. 29. **Vêtement** formą princesse. Spódnica na ryc. 25 w N. 50.

Jedwabną, bardzo dobrze leżącą spódnicę do tego ubrania, podamy na ryc. 25 w N. 50 Tygodnika, przybraną takim jak vêtement materyałem wełnianym. Na modelu bryt przedni miał 108 cent. długości, 26 górnej a 56 dolnej szerokości; przednie kliny 9 górnej a 44 dolnej szerokości, a tylne 10 cent. u góry a 48 u dołu. Górna część bryta tylnego miała 58 cent. szer. a 40 długości, od dołu zaś dopełniona była dwoma brytami oprócz nagłówka 200 cent. długiemi a razem 116 szerokiemi. Nagłówek jest 7 cent. szeroki; listewka do nawleczenia i ściągania


N. 24. Robota szydełkowa do ryc 23.

fałd od tyłu, podszywa się pod drugie kliny i bryt tylny 35 cent. od góry. Falbana z wełnianego materyału, zdobiąca przód i 1-sze kliny, ma 24 cent. szer., a jest ułożona w fałdy 7 cent. szer. a 3 głębokie i oszyta w górze wypustką jedwabną z grubym sznurem, u dołu takiemże plisowaniem z nagłówkiem, które dane jest i na brytach tylnych, pod plisami wełnianemi 6, 5, 4, i 3 cent. szerokiemi. Plisy w górze jedwabnemi wypustkami ze sznureczkiem zakończone, kończą się równo z wysokością falbany.

Bardzo długie z boku zapinane vêtement, z przodu sięga aż do plisowania, z tylnych brzegów przyfałdowane i podpięte, niema wcale zaszewek na piersiach, tylko jest paskiem przepasane. Ten ostatni układa się w podłużne fałdy ze skośnie uciętej materyi na sztywnem podłożeniu i 7 cent. szerokiej podszewce. U dołu i przy przodach 10 cent. na siebie zachodzących, dana tylko wypustka jedwabna; drugi rząd guzików kamiennych, naśladujący podwójne zapinanie, wypadać powinien na środku vêtement. Szerokie, dwoiste mankiety ozdobione równie jak pasek, kokardą z materyi lub wstążki.

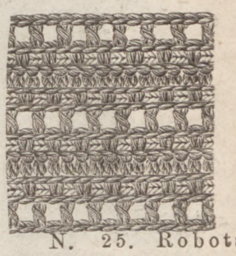

N. 20. Frendzla robotą wiązaną.

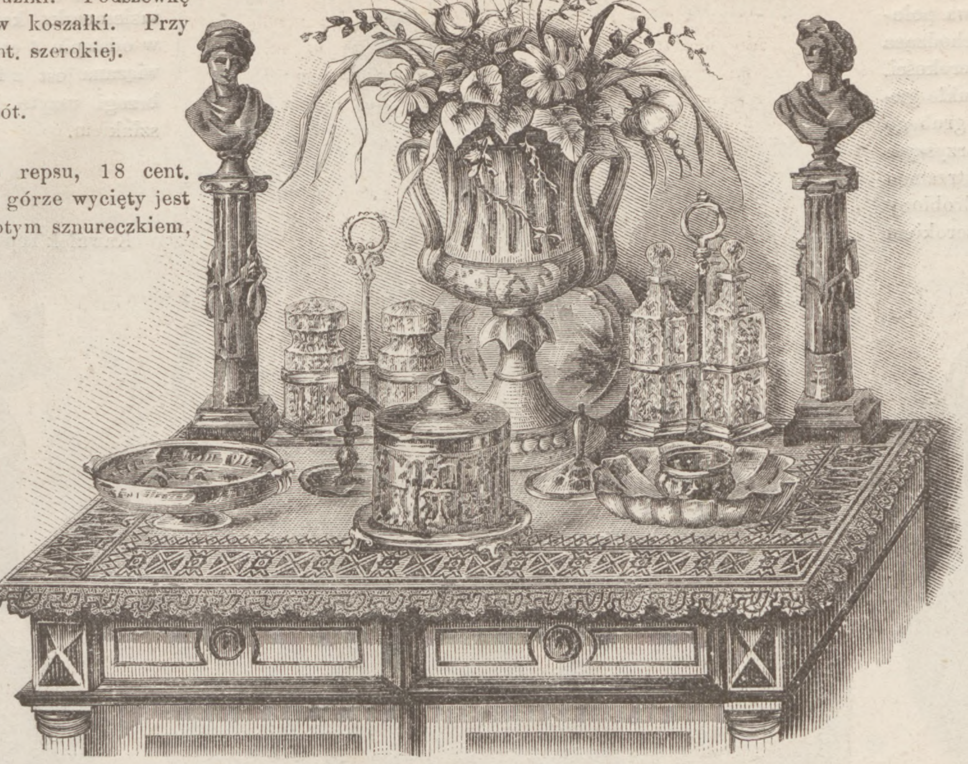
### N. 30. **Chusteczka** krepowa.

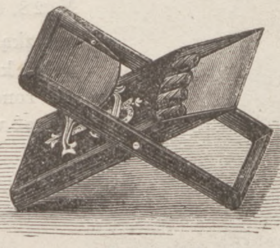
Kwadrat krepy lub innego lekkiego materyału, mający 68 cent. złożony jest w ten sposób, iż dolna połowa wystaje na 4 cent. Model był z krepy jedwabnej lipowego koloru, z brzegu w koło oszyty takiegoż koloru koronką, pod którą przy spodniej połowie podszyte było plisowanie krepowe. Bardzo modne są koronki do chusteczek, wywodzone pelą lub filozelą, tego co wstążka koloru. W górze przy złożeniu chusteczki zakłada się 6—7 fałd podłużnych, około 2 cent. szerokich, w środku przeszytych, z których 3—4 jeszcze (w sposób na ryc. 30 wskazany) przeszywa się parę razy w odstępach 12 cent. Na środku z tyłu, fałdy przepięte są kokardami z kolorowej wstążki, od których końce długo za róg chusteczki spadają; na jednym ramieniu daje się także kokardę, a końce skrzyżowane z przodu przepina się broszą lub kokardą.

### N. 31. **Ubranie** spacerowe z długim paltotem. Krój podług formy do ryc. 1 w N. 47.

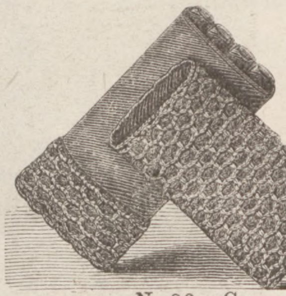
Paletot skośnie zapinany kraje się podług wyżej wzmiankowanej formy. Plecy są trochę wcinane do figury i 106 cent. długie, przody tylko 95 centymetrów. Do lewej, pod spód zachodzącej połowy, dodaje się z prostego brzegu około


N. 25. Robota szydełkowa do ryc. 23.

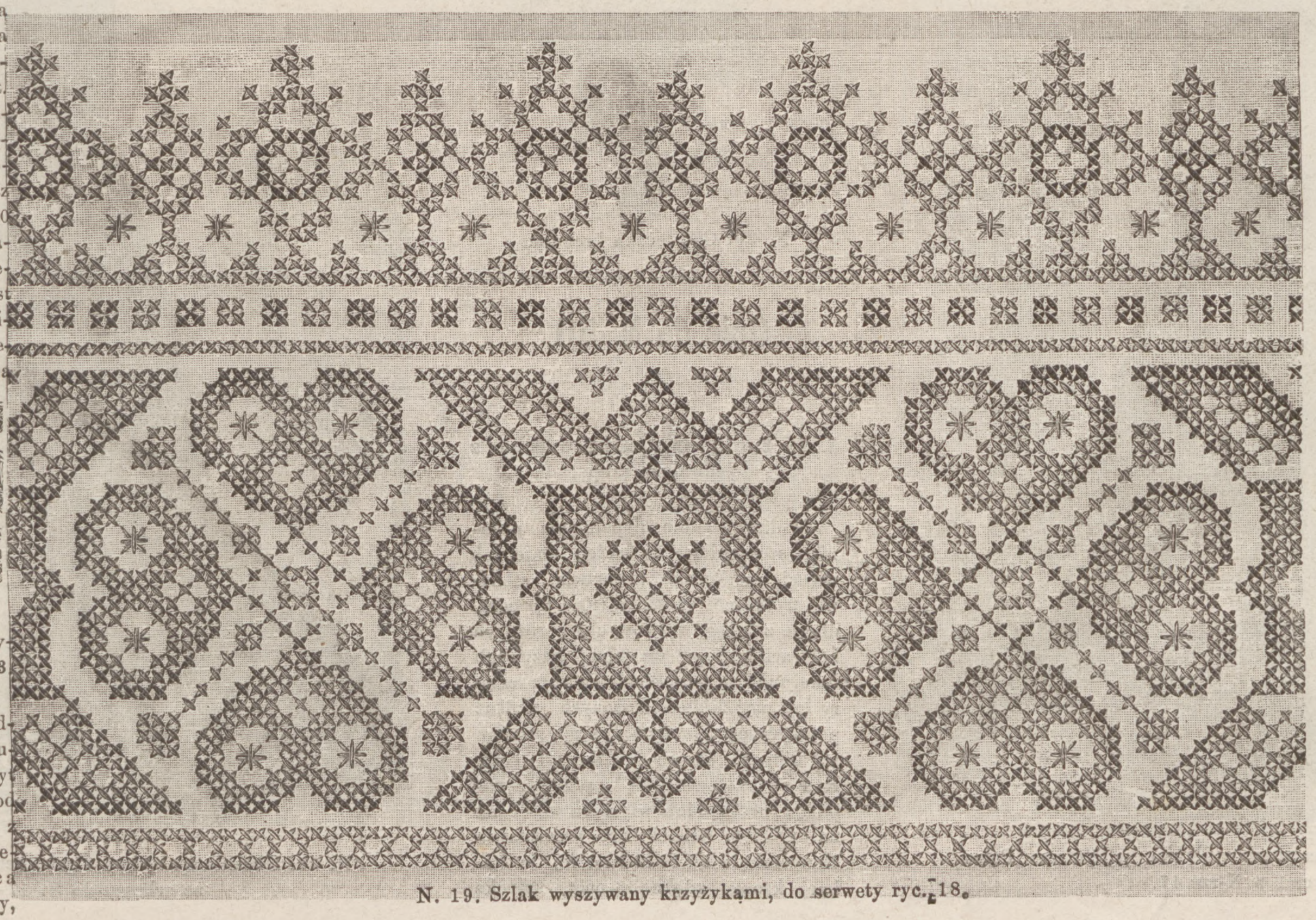

N. 18. Serwetka haftowana ściegiem krzyżowym na płótnie. Patrz ryc. 19.


N. 21. Cygarnica otwarta. Patrz także ryc. 22.


N. 22. Cygarnica dająca się rozsunąć i postawić. Patrz ryc. 21.


N. 23. Cygarnica powleczona robotą szydełkową. Patrz ryc. 24—25.


N. 26. Kosz ogrodowy lub do wyjścia na targ.


N. 19. Szlak wyszywany krzyżykami, do serwety ryc. 18.

34 cent. szerokości, tak iż część ta u dołu ma 120 cent. szerokości. Zwierzchnia, prawa połowa przodu, w górze aż do ramienia zachodząca zcięta jest skośnie do dołu, do 52 cent. szerokości. Skośnie do lewego przodu przyszyte wypukłe guziki, zapinają się aż do dołu na pentlice z grubego jedwabnego sznura, 8—10 cent. długie, przyszyte do prawego przodu za obłożeniem futrzanem i przez takowe przechodzące. Model odrobiony był z grubego *Velours* czarnego, z 6 cent. szerokiem obłożeniem futrzanem.

**N. 32. Ubranie** spacerowe z paltotem aksamitnym.

Paltocik z lekko podwatowaną jedwabną podszewką, suto przybrany pasmateryą i kokardami z 6 cent. szerokiej, na dwie strony atłasowej wstążki, miał na modelu z przodu 85, z tyłu 90 cent. długości. Przody schodziły się aż do dołu, a naszycie pasmanteryi z tyłu przechodziło przez ramię przy wykroju szyi i z brzegu przodów aż do 40 cent. od dołu, gdzie zakończone było sutą kokardą.



N. 27. Woreczek do robót.

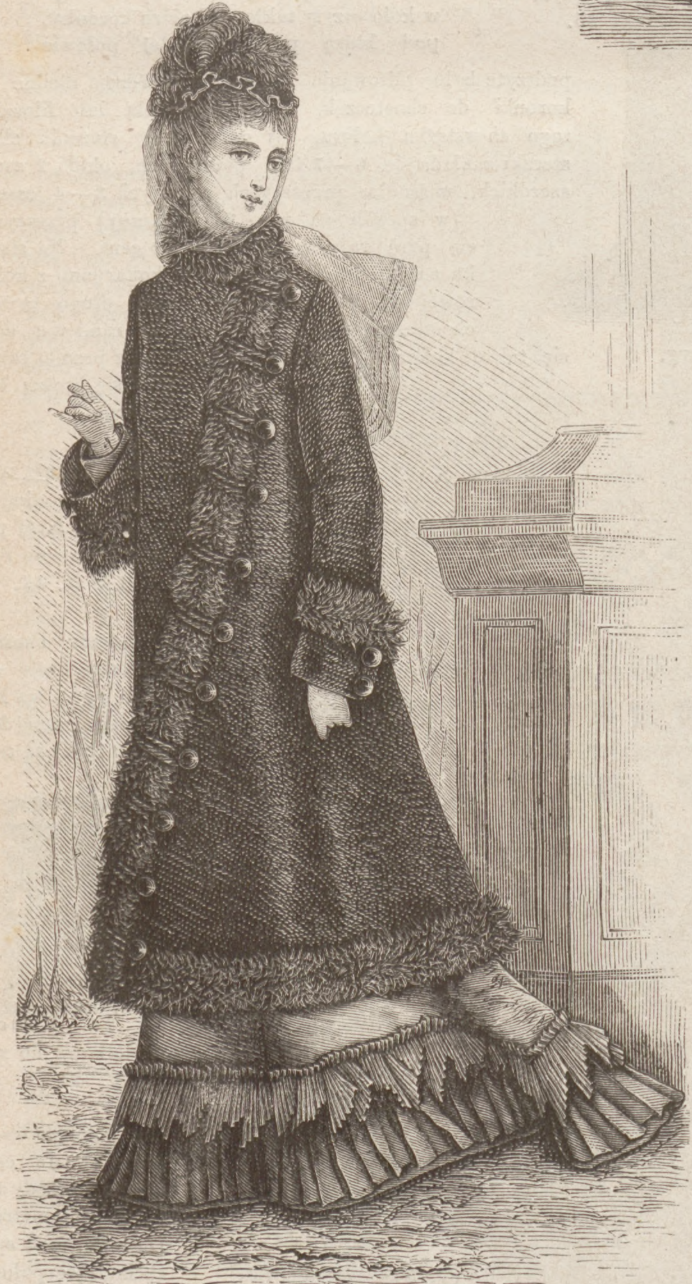
Suknia formą princesse, z ciemno-zielonej *faille*, z przodu i na pierwszych klinach naszyta 6—8 pliskami aksamitnemi, 3 cent. szerokiemi, takiego samego koloru; u dołu w koło oszyta sutą riuszą jedwabną. Kapelusik czarny aksamitny ubrany piórami i różami.



N. 29. Suknia z vêtement formą princesse.



N. 28. Powleczenie na kłębek.



N. 31. Ubranie spacerowe z długim paletotem. Patrz ryc. 1 w N-rze 47.



N. 30. Chusteczka krepowa.



N. 32. Ubranie spacerowe z paletotem aksamitnem. Krój na arkuszu do N. 47—48.

## Opis do N. 50.

**N. 1—2 i 12. Chusteczka** trójkątna z jedwabnej krepy.

Modne i ładne dopełnienie ubrania, szczególniej do sukien mniej lub więcej podłużnie otwartych, stanowią trójkątne chusteczki (po 60 cent. długie z brzegow prostych) w różnych kolorach z crêpe de chine, gazy lub innej miękiej jedwabnej tkaniny; cztery lub pięć fałdek założonych wzdłuż poprzecznego brzegu skracają środkową długość chusteczki do 24 cent. Końce przerzucają się z przodu, zapinają broszą lub wiążą na węzeł jak na ryc. 1; model ten przedstawia chusteczkę z blado-niebieskiej jedwabnej krepy, zdobną 3 cent. szeroką wszywką (walansienką) wywodzoną na tiulu lub wyszytą tasiemeczką koronkową jak na ryc. 12, która daje się w odstępie 3 cent. od brzegów; frendzla 6 cent. szeroka wiązana jest z filozeli. Chusteczka podana na ryc. 1 ma brzegi oszyte koroneczką, przytwierdzoną aplikowanym szlakiem.

**N. 3. Kreza** z żabotem.

Kawałek repsowej wstążki 54 cent. długi a 4 szeroki, złożony we dwoje stanowi podstawę na której przyszywa się 4 cent. szeroką riuszę z crêpe lisse i 2 1/2 cent. szeroką koroneczkę; brzegiem wstążki przyszyta marszczona koronka 5 cent. szeroka. Żabot układa się z kawałka muślinu 14 cent. długiego, 12 szerokiego, oszytego 5 cent. szeroką koronką i wstawką daną na 2 cent. od brzegu, złożonego w plisowane fałdki; pukle z wstążki przewinięte z koronką, dopełniają przyozdobienia.

**N. 4. Kapelusz** filcowy.

Kapelusz z wywiniętem rondem z filcu koloru ivoire zdobny jest takąż wstążką i piórem cieniowanem aż do białego koloru; układ kokard i przepięcie pióra wskazuje rycina. Podpięcie rondka składa się z rulonu aksamitu brązowego, takiegoż węzła i dwoch róż herbacianych.

(Dok. nast.)